



N^o 33.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 12 sierpnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.



Daremna pokusa. Podług obrazu Schlezingera w Paryżu.

Treść numeru. Daremna pokusa (drzeworyt). — Kronika tygodniowa. — Przegląd polityczny. — Z wystawy powszechnej w Filadelfii (2 drzeworyty). — Wnętrze pracowni ś. p. Aleksandra hr. Fredry (drzeworyt). — Przegląd piśmienniczy. — Edward Windakiewicz (z drzeworytem). — Przesady, komedia w pięciu aktach (dokończenie). — Co jój zostało? (więrsz). — Nekrologia półroczna. — Szachy. — Rebus. — Na rozdrożu, powieść (dokończenie). — Świętopełk, książę Pomorza gdańskiego. — Milton i Cromwell (dokończenie). — Instynkt i inteligencja zwierząt (dalszy ciąg). — Opozycja w Rzymie za cesarzy (dalszy ciąg). — Pamiętnik młodej mężatki, powieść pani Craven (dalszy ciąg).

Kronika tygodniowa.

K r a j o w a.

Młodzież szkolna potrosze już ściągać zaczyna do Warszawy. Za dni kilka otworzą się dla niej podwoje przybytków wiedzy i rozpocznie się całoroczna praca nad książką, praca mozolna, dla większej części młodzieży zbyt może mozolna. Niestety, wśród tej pracy jednak znajdują się chwile wolne, w których dzieci, wyrwawszy się ze szkolnej izby, niezawsze na dobre używają. Często też zdarza się, że zamiast odpoczywać po całodziennym trudzie wśród miłej i uciwłej rozrywki, niektórzy młodzieńcy oddają się postępkom ani młodości właściwym, ani też dla jakiegobądź wieku odpowiednim i pożytecznym. Niedawno temu władza szkolna, za nieprzyzwoite zachowywanie się na widowiskach ogródkowych, zmuszoną była zamknąć te widowiska dla młodzieży gimnazjalnej. Teraz znowu krąży po mieście smutne jakieś wieści o spełnieniu gorszego występu przez kilku uczniów, co bynajmniej nie dowodzi, aby ogólne usposobienie młodzieży było pocieszającym.

Jeżeli jednak kilkonastoletni wyrostek dopuszcza się czynu hańbiącego, powiedzcie, rodzice, czy cząstka jego hańby i na was nie spada? Któż to was zwolnił od troskliwego czuwania nad dziećmi własnymi? Kto mógł przyzwać młodociane serca do poczucia cnoty i obowiązku, umysły do rozeznania złego?... Któż za was odpowiadać będzie przed Bogiem, żeście wychowali w dzieciach waszych ludzi szkodliwych społeczeństwu?..... Z trwogą ono słucha smutnych, choć może i niepewnych pogłosek; drży o przyszłość swoje, gdy pomyśli, że są rodziny, w których nad dziećmi niema rodzicielskiego kierunku, w których dziecięce serca kroczą bez przeszkody po bezdrożach ponętnych występku.

Szkola nie zastąpi rodziców, ani nauka nie uwalnia od mozolnych trudów wychowania.

Owszem, tém baczniej pilnujcie dzieci swoich, gdy idąc do szkoły, mieszają się z całym tłumem chłopców, pomiędzy którymi i o złe ziarno nie trudno. Dobry przykład domowy niechaj zacięra wrażenia wyniesione z pośród zepsutych kolegów, a sumienna kontrola postępowania dzieci niech strzeże je od przepaści występku.

Wypowiadamy to ze smutkiem, że wypowiadać takie rzeczy trzeba. Niestety jednak, złe dzieci aż nadto wymownie świadczą o tém, iż są niedbali rodzice, którym obowiązki ich przypominac należy.

Ogród Saski nie jest bynajmniej jedynakiem Warszawy, a przecież doznaje od niej szczególniejszej troskliwości, gdy tymczasem młodszy jego brat, ogród Krasińskich, musi się zadowalać staraniem do najmniejszych ograniczonym rozmiarów.

Więc tedy w ogrodzie tym gospodarka, na dziwny tryb prowadzona, nie daje mu dostatecznej opieki. Dzieją się w nim rzeczy, które mu bynajmniej na korzyść nie wychodzą. Trawniki jego są zazwyczaj deptane bezkarnie, na ławkach długopole postacie odbywają kilkogodzinne drzemki, a drzewa schną powoli od kurzu, przeciwko któremu żadnych się nie przedsięwzięć środków. Szczególniej w dniu sobotnie ogród Krasińskich zamienia się w plac publiczny, ożywiony tłumem

i szwargotem, który najzupełniej bezceremonialnie unosi się razem z falami duszącego kurzu.

A przecież o uporządkowaniu tego ogrodu wartyby pomyśleć. Powinienby on mieć służbę dostateczną do powściągnięcia wybryków tych, którzy się zdaje że miejsce to jest dla nich podwórkiem własnego domostwa. Niechaj nie wciskają się tam tłumy całe niedorośtków, którzy nie umieją szanować ani własności, ani... przyzwoitości publicznej. Głośne zabawy, krzyki, gonitwy po trawnikach, toć to rzeczy miejscu temu nieodpowiednie. Mały ten ogród, dlatego że mały, łatwiej uleść może zniszczeniu zupełnemu, gdy bacniejsza nań uwaga nie pohamuje lekceważenia jego całości. A szkoda by go było... toć to jedyne miejsce przechadzki w części miasta, w której się znajduje.

Nestor rzeźbiarzy polskich i profesor b. szkoły sztuk pięknych w Warszawie, ś. p. *Konstanty Hegel*, o którego pracach i śmierci wspomnieliśmy przed dwoma tygodniami, pomimo że zmarł w niedostatku, wkrótce zapewne uczczony zostanie godnym zasług swych pomnikiem.

Wdzięczni uczniowie, których nieboszczyk troskliwym i umiejętnym był przewodnikiem, jak *Rygiel*, *Pruszyński*, *Syrewicz* i kilku innych, zebraли między sobą potrzebny na ten cel fundusz, wykonaniem zaś pomnika zająć się ma bezinteresownie p. *Syrewicz*. W pracowni tego artysty widzieliśmy już bardzo podobne popiersie gipsowe zacnego profesora, które on sam w ostatnich latach swego życia modelował, a które obecnie p. *Syrewicz* wyrzeźbić zamierza z marmuru karrajskiego.

Zaznaczając z radością ten objaw wdzięczności dla zasłużonego przewodnika ze strony jego uczniów, wyrazić musimy jednocześnie żal szczerzy, że pamięć zmarłego przed szesnastu przeszło laty, a niemniej zasłużonego profesora *J. F. Piwarskiego*, nie doczekała się dotąd żadnej widomej oznaki równie gorącego uznania, chociaż w sercach wszystkich swych uczniów w wysokim je stopniu posiadał.

O ile wiemy, w ręku wdowy po ś. p. *Piwar*skim znajduje się nawet mały fundusik, zebrany ze składek, oraz ze sprzedaży portretu zmarłego profesora, umyślnie na ten cel przez p. *Wojciecha Gersona* litograficznie wykonanego. Szłoby więc tylko o odpowiednie powiększenie tego funduszu i energiczne zajęcie się pomnikiem, którego ustawienie na grobie jednego z najdzielniejszych i najserdeczniejszych przewodników młodzi artystycznej oddawna powinno być faktem dokonanym.

Niech liczni uczniowie i czciciele zasług ś. p. *Piwar*skiego sprawę tę wezmą do serca, a przeprowadzenie jej do skutku, bez wielkich ofiar i zachodów, będzie rzeczą łatwą.

Sprawozdanie z działań Stowarzyszenia spożywczego „*Merkury*“, za półrocze czternaste, to jest od 1 stycznia do ostatniego czerwca 1876 r., korzystniejsze od poprzednich przedstawia rezultaty. Wprawdzie liczba ogólna członków Stowarzyszenia zmniejszyła się o 22; wprawdzie nie szczęśny bazar nie przestał być kulą przywiązaną do nóg *Merkurego*, bo i w tém znowu półroczu przyniósł straty rs. 308 kop. 73½; wprawdzie do biblioteki towarzystwa nie w roku bieżącym nie przybyło, bo też podobno nikt z niej nie korzysta; — ale zato obrót we wszystkich prawie sklepach znacznie się powiększył i czysty zysk wynosi rs. 3,081 kop. 43, podczas gdy w półroczu poprzedniem czynił tylko rs. 516 kop. 67.

Pomyślna ta okoliczność dozwoliła zarządowi we wnioskach przedstawić się mających na następnym ogólnym zebraniu zaproponować 2% dywidendy od wypuszczonych marek, zamiast ½% ofiarowanych w półroczu trzynastym, a zatem cztery razy więcej; prócz tego zaś zarezerwować jeszcze jako kapitał na przyszłe półrocze rs. 700. Korzystny ten względnie rezultat pieniężny najwymowniej świadczy o zabiegłości nowego zarzą-

du i umiejętnym prowadzeniu części handlowej przez osobnego agenta, który za trudy swoje otrzymuje 5% od dochodu czystego.

Z przyjemnością także wyczytujemy w „*Sprawozdaniu*“, że sprzedaż rabatowa, którą zawsze uważaliśmy za środek tylko sztuczny, nieodpowiedni celom właściwym Stowarzyszenia, wynosi mało co więcej nad ¼ część sprzedaży po sklepach. Jest to stosunek normalny, który i nadal utrzymywać się powinien.

Co do czynności, poleconych do wykonania na ostatnim ogólnym zebraniu, żałować należy, że nie udało się dotąd zawiązać stosunków handlowych ze Spółką mięsną — dla jakich przyczyn, zarząd bliżej nie objaśnia; oraz że projektowany kredyt na towary dla klasy rzemieślniczej i wyrobniczej nie przyszedł do skutku, z powodu niezgłaszania się osób pragnących tej ulgi, a dostateczną przyczyną przedstawiających rękojmię.

Z ogólnego jednak poglądu na ostatnie sprawozdanie wyprowadzić można wnioski, że Stowarzyszenie spożywcze „*Merkury*“ wchodzi obecnie w nową fazę swego istnienia, rokującą mu przyszłość pomyślniejszą, którą też pożytecznej tej instytucji, od lat już siedmiu waleczącej wytrwale z najróżnorodniejszymi trudnościami, z serca życzymy.

Rok obecny szczęśliwszy jest dla miast prowincjonalnych pod względem pożarów, aniżeli dla Warszawy. Od zeszłej soboty straż ogniowa tujejsza omal że chwili spoczynku znaleźć nie może, bo ją ustawicznie dzwonek alarmowy wzywa do ciężkiej pracy i walki z niszczącym żywiołem. Największy pożar wybuchł zeszłej niedzieli na terytorium dawnych łązienek *Kurca*; zniszczył do szczytu młyn parowy i piekarnię, spalił budynek przyległy drewniany, dalej murowany dom mieszkalny i część gmachu kąpielowego, a wszystko to stało się pomimo energicznego ratunku.

Na domiar złego w niższej klasie mieszkańców Warszawy obiega pogłoska, że ktoś przez rozlepiane plakaty zapowiadał systematyczne podpalania. Bezsensowna ta wieść rozpowszechniła się szybko i po lada przypadku słyhać pytania: a kto podpalił?... czy schwymano podpalacza?...

Tymczasem podpalaczem najczynniejszym jest ludzka nieostrożność. Ci, co ulegają klęsce, niekoniecznie innym wyrzucać ją powinni. Gdyby bacnie poszukali powodów, które ją sprowadziły, niezawodnie znaleźliby je w sobie samych.

Rozumiemy to dobrze, że znajdują się spekulanci, robiący niezłe interesy na cudzém nie szczęściu; ale podpalanie ubogich domków drewnianych, zamieszkałych przez równie ubogą ludność, wielkiej korzyści złodziejom i podpalaczom przynieśćby nie mogło. Tymczasem jak dotąd, paliły się tutaj przeważnie takie domy, po większej części nieasekurowane, więc i pod innym względem podejrzenia byłyby niesłuszne.

Ostrożności! — a wiara w podpalanie upadnie, bo i pożary same staną się coraz rzadszemi.

Trzeci z rzędu występ debiutowy pani *Zimajerowej* w roli wicehrabiego de *Letorières* w „*Sztuce* przypodobania się“ wypadł, jak i poprzednie, bardzo korzystnie dla debiutantki, bądź co bądź jednak wykazał jasno, że artystka winna się przeważnie trzymać w zakresie wodewilu, operetki i krotoczwili, nie sięgając bynajmniej do wyższych ról komediowych.

Pani *Zimajerowa* posiada wiele przymiotów aktorki wodewilowej, ale nie posiada za to ani potrzebnej dla wicehrabiów dystynkcji, ani też zmysłu wnikania głębiej w przedstawiane przez się postacie. Na role swoje rzuca się ze śmiałością, która, logicznym bardzo następstwem, wyradza się niekiedy w szarżę. Przy miłym ale niewyrobionym głosie, przy ruchach zbyt ostrych... a może u-myślnie zaostrzonych, wicehrabia de *Letorières* był w jej grze bardzo przyjemnym chłopaczkiem, mającym wesołość, wdzięk wrodzony, śmiałość i spryt, ale bez owego estetycznego wdzięku, stanowiącego główny żywioł sztuki przypodobania

się. Ten miły szalapat w osobie pani Zimajerowej kazał zapominać że jest wicehrabią, mimo to przecież zajmował publikę swą rzutkością i wydzięrał oblask z jej dłoni.

My, widząc tu i owdzie zbyt jawną szarżę, trochę może nawet lekceważenia śmiało podjętego zadania, wstrzymaliśmy się od oklasku, z obawy aby tradycya gry ogródkowej nie znalazła w osobie p. Zimajerowej na naszej scenie zbyt niebezpiecznej, bo bardzo utalentowanej przedstawicielki. Co prawda, obawa to płonna, boć prawie pewnym być można, że artystka ta, jeśli wejdzie do składu trupy warszawskiej, zdolności swoje wyteży przedewszystkiem na zdobycie sobie tego, czego jej brakuje: oto artystycznego wykintu, elegancyi i wdzięku bez mizdrzenia się.

Klimat nasz, bardzo łaskawie nazwany umiarkowanym, w rzeczywistości jest kapryśny i zmienny, a jeżeli dąrzy nas pogodą niepewną, jeżeli zaćmięwa słońce, gdy go najbardziej potrzeba, jeżeli leje dęszcem, gdy dęszczę jest szkodliwy, to mięwa także i mniej „umiarkowane“ niespodzianki, które przynoszą straszliwe klęski i szkody.

Oto, jak pisze „Kaliszanin“ w powieście sieradzkim zeszłej soboty spadł grad wielkości kaczego jaja... który w niedzielę leżał jeszcze na polach. Po takim gradzie niewarto już schylać się ku ziemi, aby zebrać plony... Wszystko stłuczone do szczeru — pozostaje tylko perspektywa głodu i nędzy. W Kaliskiem zresztą grady padały powszechnie prawie, niszcząc owoce pracy ludzkiej. „Umiarkowany“ klimat dał się tam wybornie we znaki, a obojętność ziemian co do asekuracyi płodów dokonała reszty.

W tę samą sobotę od granicy pruskiej przeszła burza przez Wieruszów ku Pabianicom, jak pisze Gazeta Polska, i na tej przestrzeni zrzuciła ogromne szkody. W 116 wsiach straszliwy uragan poobalał i porozrzucał budynki, w niektórych częściowo, w innych zupełnie. Podobno powstałe ztąd szkody na miliony obliczać przyjdzie.

Otóż to skutki klimatu, który geografowie i meteorologowie umiarkowanym tytułują.

Gdy pomyślemy jeszcze, że klimat ten odbiera nam wiosnę, lato przerabia na jesień, w zimie każe brnąć po błocie, wysusza rzeki, wypala lub wymacza pola i łąny... to wistocie, uśmiechnąć się przyjdzie z tego mniemanego umiarkowania.

Z a g r a n i c z n a.

Wielu z was, czytelnicy, oglądało niezawodnie na oczy własne wieś Zakopane pod Tatrami w Galicyi, wielu słyszało o niej, o jej gazdach, o jej żętycy i o mieszkańcach, od natury uzdolnionych do snycerki. Ile też to pamiątek z wędrówki w góry wieś ta rozsypała po kraju, ile wdzięcznych figurek, toporków, łyżek i misek... I niedziw, fantastyczne kształty gór, gra światła, uroki mglistych obrazów, wszystko to kształci wyobraźnię, podbudza ją i do działania prowadzi. Lud podtatrzański dlatego właśnie ma wysokie poczucie plastyki; do snycerki się garnie, ale prosto, niewykształcony estetycznie, poprzestawiać musi na utworach, zdradzających często naiwność pomysłu i formy.

Tę zdolność podgórzan tatrzańskich dawno już zauważono, nie było tylko nikogo, co by o jej rozwinięciu i wyrobieniu pomyślał. Obecnie Towarzystwo tatrzańskie wzięło tę sprawę do serca i postanowiło dopomóc domorosłym snycerzom do wyjścia na szersze pole z tradycyjnej dlabaniny, która, jakkolwiek nie bez wdzięku, na miano sztuki w żadnym razie zasłużyć dotąd nie mogła.

Otóż w dniu 30 zeszłego miesiąca odbyło się uroczyste poświęcenie szkoły snycerskiej w Zakopanem. Ksiądz Stolarczyk, który poświęcił obrany na szkołę budynek, wymownie określił cel jej założenia, hrabia Rej zaś, prezes Towarzy-

stwa tatrzańskiego, starał się wykazać korzyści, jakie ona na przyszłość podhalanom zapewnić może. Wymownie skreślił obraz pracy zbiorowej i przemysłu ludowego w innych krajach; zachęcał do niej, dowodził że może ona zapewnić znaczne nawet zyski, a wreszcie oświadczył to błogie przekonanie, że lud, dostawszy pod postacią szkoły dobry dla tej sprawy początek, sam go następnie rozwinie, ku własnemu pożytkowi, w dzieło poważne i wielkie.

Oby dobra otucha hr. Reja sprawdziła się rzeczywistość! Takby się zresztą należało spodziewać. Lud podhalski umie patrzeć zdrowo na rzeczy, nie lubi się zasklepić w zupełnym zastoju, a wrodzony popęd do snycerki pozwoli mu na tym polu rozwinąć zdolności i osiągnąć wyzyna prawdziwej sztuki. Wiele tu dopomóc może okoliczność, że między synami gazdów podtatrzańskich nie jeden znajduje się taki, co nietylko na szkolnej siedział ławie, ale i wyższych nauk słuchał na uniwersytecie. Ci zachęcać innych dobrym przykładem i zdrową radą, której ogół zapewne posłucha.

Przegląd polityki zagranicznej.

11 sierpnia.

Cały pierwszy miesiąc wojny serbsko-tureckiej upłynął na niewielkich utarczkach pogranicznych, które świadczyły o względnej równowadze sił, gdyż ani jedna, ani druga strona nie odniosła w tych walkach ważniejszych zwycięstw. Obie dwie nawet oszczędzały się poniekąd, nie wprowadzały do boju większych sił, a bitwy nad Dryną, Ibarem i Timokiem były raczej dla Serbów szkołą przygotowawczą do wojny, niż właściwą wojną. Największa armia serbska, zwana południowo-morawska, którą dowodził generał Czerniajew, unikała zetknięcia się z nieprzyjacielem, czekając lepszych warunków, a głównie wybuchu powstania w Bułgarii. Pokazało się atoli, że taktyka podobna, wraz z pierwiastkowym rozproszeniem sił serbskich, nie była dla tego kraju korzystną. Turcy zyskali na czasie; wzmocnili swoje korpusy w Widyniu i Niszu; zmusili tym samym Serbów do przejścia ze stanowiska zaczepnego w odporne. Czerniajew, któremu przypisywano już zamiar pochodu na Sope, musiał się cofnąć włąb Serbii, a pułkownik Leszjanin, którego zastępy podsuwały się pod samą fortecę widyńską, czekał już tylko wkońcu na posiłki, bo czuł się zachwianym w Zajczarze. Gdyby jednakże obiedwie te armie, nadmorawska i nadtimocka, połączyły się były dość śpiesznie, to mogłyby jeszcze stawić czoło nieprzyjacielowi i zatrzymać go u samej granicy. Serbowie wprawdzie zrobili coś podobnego, skoncentrowali się pod Kniażewaczem i pod Zajczarem; ale w danej chwili, gdy Turcy uderzyli na Kniażewacz, a raczej na wyżynę Tresibaba pod tym miastem, gdzie stał pułkownik Horwatowicz, w danej chwili, powtarzamy, nie zdołali wystawić odpowiednich sił przeciwlicznej armii tureckiej i Horwatowicz, po pięciodniowej bohaterskiej walce, musiał się cofnąć po za Kniażewacz, który Turcy obrócili w perzynę. Gdyby jeszcze mógł był cofnąć się ku północy i połączyć z Leszjaninem, to przynajmniej Serbia nie byłaby straciła Zajczaru; Leszjanin bowiem, dowiedziawszy się o odparciu Horwatowicza ku południowi (do Bani), musiał czempredziej, nawet bez walki, Zajczar opuścić, żeby Turcy nie wzięli jego korpusu w dwa ognie. Pierwszym zaś następstwem wkroczenia Turków do Serbii jest utrata linii operacyjnej Zajczar-Kniażewacz-Aleksinacz i straszne, barbarzyńskie zniszczenie tych okolic przez najezdników.

W sferach urzędowych w Białogrodzie starają się przedstawiać odwrót z pod Kniażewaczem i opuszczenie Zajczaru, jako umyślne kroki wojenne, wypływające z planu, powziętego zgóry; trudno jednak przypuścić, ażeby Serbia, nawet przez wzgląd na strategiczne korzyści, dobrowol-

nie przenosiła widownię wojny na swoje terytorium. Tylko klęski zmusiły ją do tego, a klęski te trudno jej będzie powetować. Według ostatnich doniesień, Czerniajew połączył się z Horwatowiczem i zająwszy wąwozy pod Banią, zamierzają obydwaj przyjąć tam nową bitwę, tym razem z większą przynajmniej szansą liczebną. Mimo bardzo niebezpiecznego położenia, rząd serbski nie traci odwagi, i wszelkie pogłoski, jakoby się udawał do mocarstw zagranicznych z prośbą o pośrednictwo, są, o ile się zdaje, zupełnie błędne. Mocarstwa zresztą, przyjąwszy zasadę nieinterwencyi, nie będą też prawdopodobnie chciały wpływać na bieg działań wojennych, i jak się wyraża *Temps*, zaczekają aż nadejdzie „moment psychologiczny“ interwencyi. Rozumię się że im więcej krwi do tego momentu popłynie, tym skuteczniejszą będzie owa interwencya. A krew płynnie nietylko na widowni wojny. Według nieprzesadzonych z pewnością raportów angielskich, Turcy wymordowali już w Bułgarii 12,000 chrześcian. Żaden parlament europejski (dziwna ironia) nie zajmuje się tak żywo losem tych ofiar, jak właśnie parlament angielski. Nie przeszkadza to jednak filantropijnym posłom i lordom aprobeować w zupełności polityki rządu angielskiego, która stoi wytrwale na gruncie *status quo* w Turcyi. Sprzeczność między uczuciami a polityką jest oddawna na porządku dziennym w Wielkiej Brytanii.

Jeżeli kiedy, to dziś Serbia ma prawo spodziewać się pomocy ze strony Czarnogórze, któremu losy bardzo poszczęściły. Muchtar-basza, rozbity pod Wuczycydołem, musiał się schronić do Trebinii, gdzie Czarnogórcy i powstańcy oblegają go dzisiaj z przeważnymi siłami. Położenie jego tamże nie jest do pozazdroszczenia. Odcięty ze wszystkich stron od swoich, wkrótce nie będzie miał nawet czem karmić swoich żołnierzy i albo musi się poddać, albo też z wysiłkiem rozpaczy przedrzeć się przez oblegających i wkroczy do Dalmacyi, gdzie go Austriacy naturalnie rozbroją. Muchtar-basza miał pod swojemi rozkazami największą część sił tureckich, skoncentrowanych w Bośni; upadek więc jego powinien oddziaływać bardzo korzystnie na operacye wojenne serbskich armij: dryńskiej i ibarskiej.

Dotychczas nie widać jeszcze żadnego w tej mierze wpływu. Czolak Antycz wprawdzie odniósł w ostatnich czasach kilka drobnych zwycięstw w okolicach Siennicy; nie zdołał jednak zająć żadnego ważniejszego punktu; Alimpicz zaś rozproszył swoich ochotników w oddziały partyzanckie, chcąc tym sposobem przyspieszyć ogólne powstanie Bośni, w której dziś tylko Banjaluka daje jakie takie znaki życia. Rumunia i Grecya, na które Serbowie czas jakiś liczyli, zachowują się teraz bardzo lojalnie i z tych stron książe Milan nie może się spodziewać żadnego poparcia.

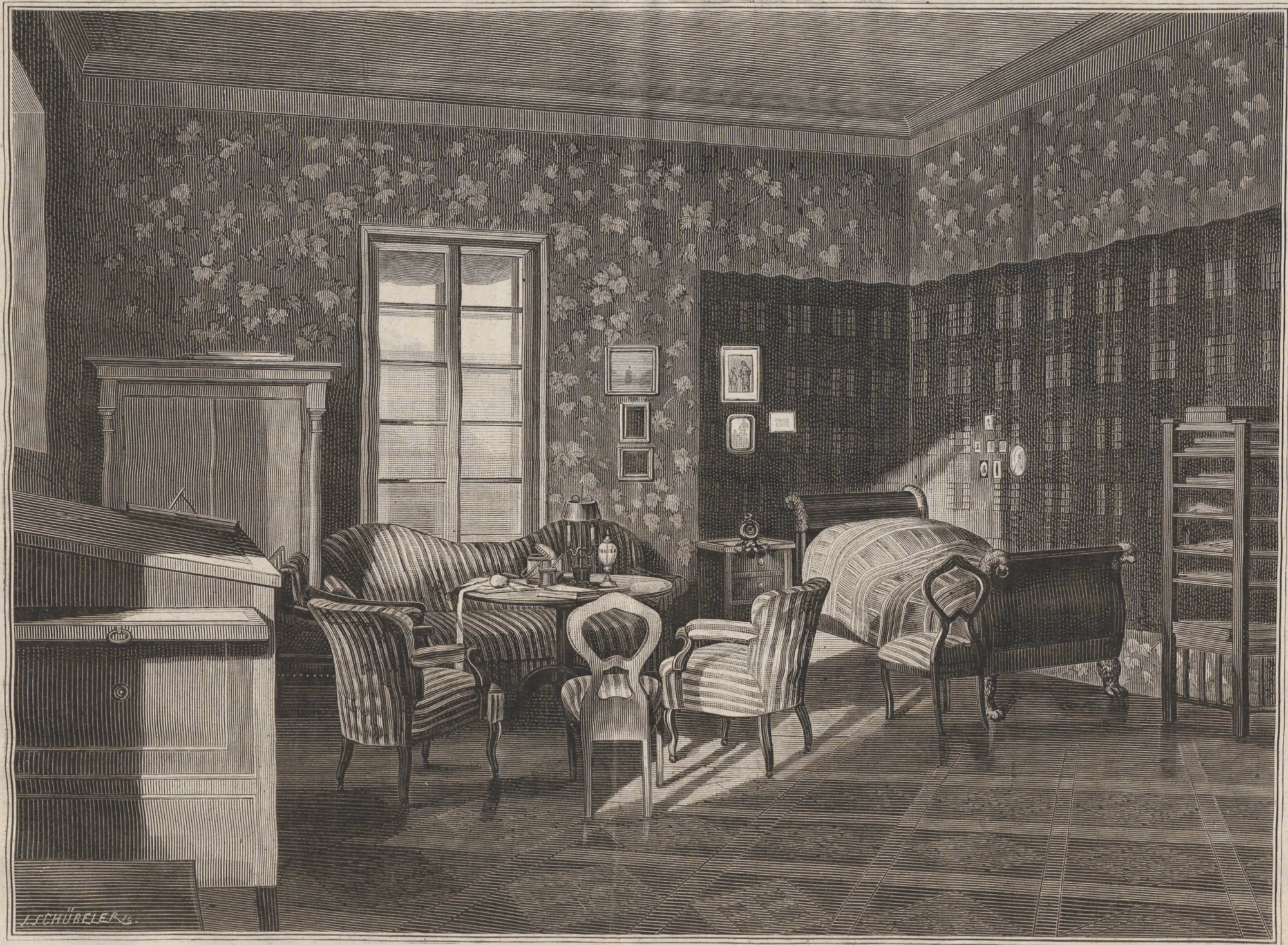
(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times.)

SPROSTOWANIE.

„W numerze 31 Tygodnika, w korespondencyi z Poznania, str. 75, szpalta 2, wiersz 53 do 57 od góry, skutkiem przedstawienia dwóch wyrazów i znaków pisarskich, powstał sens mylny. Czytało należy jak następuje:

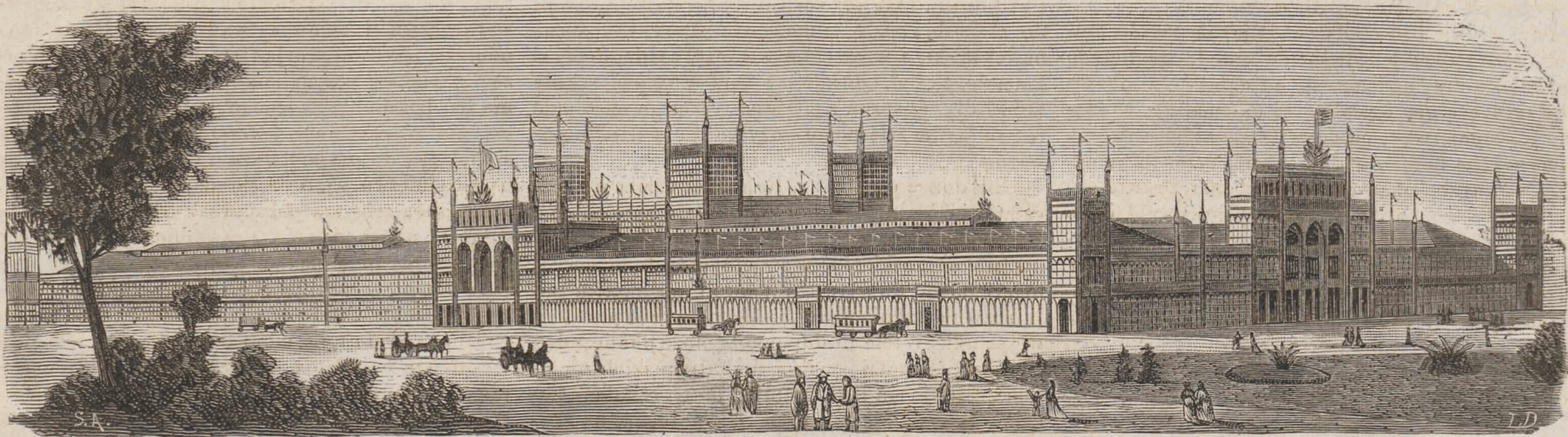
W tym samym poszytcie Roczników napotykaemy jeszcze historyczną pracę p. Jarochońskiego, archeologiczną o kamieniach mikorzyńskich d-ra Szulca i heraldyczną o tworzeniu się herbów i nazwisk familijnych w Polsce.“

Od M. K. z Majkopu otrzymaliśmy rs. 5 dla nędzy wyjątkowej.



Wnętrze pracowni ś. p. Aleksandra hrabiego Fredry we Lwowie. Podług fotografii Trzemeskiego, rysował Podbielski.

Z WYSTAWY POWSZECHNEJ W FILADELFIJ.



Zabudowanie główne.

195



Wnętrze pawilonu ogrodniczego.

196

Przegląd piśmienniczy.

O różnej wartości buraków w cukrownictwie i ich uprawie, tudzież o zużytkowaniu materij nawozowych atmosferycznych, opartem na nowej metodzie uprawy ziemi, przez Józefa Boczyńskiego. Warszawa, 1876. — Kurs przygotowawczy zoologii, podług metody porównawczej, ułożony przez G. Chmielewskiego, magistra nauk przyrodniczych warszawskiej szkoły Główniej. Warszawa, 1876.

Brozura p. Boczyńskiego, którą mamy przed sobą, wyodrębnia się całkiem od wszelkich dzieł, stanowiących naszą literaturę rolniczą. Autor rozwija w niej poglądy nieliczące wcale z zapatrywaniem się na ten przedmiot Kurowskiego, Chłapowskiego, Rosenberga-Lipińskiego, i odrzucając dotychczasowe podstawy nauki agronomicznej, usiłuje wprowadzić nasze rolnictwo na nowe drogi, przekonany gorąco, że na nich zyska ono rozwój najszerszy. Dążenie to zaiste; czy jednak poglądy autora zastosować się dadzą w praktyce, to pytanie, na które z obowiązku sprawozdawcy wypada mi odpowiedzieć.

Autor poczytuje zasilanie ziemi nawozami za bezużyteczne, a nawet szkodliwe, gdyż według niego rolę zaopatrywać może podostatkami powietrze, będące najzasobniejszym zbiornikiem materij organicznych i mineralnych. Dalej odrzuca pług, jako narzędzie nieużyteczne dla roli, której w tej mierze wystarczać mają brona, radło i drapacz. Pług, odwracając skiby w ten sposób, że podłoże staje się warstwą wierzchnią, wpływa, według p. Boczyńskiego, na pogorszenie warunków urodzajności, a to dlatego, że atmosfera nie może w tym razie na grunt oddziaływać. Wyłącznie tylko przy uprawie kartofli, pług, według autora, mógłby być używanym.

Następnie p. Boczyński występuje przeciw płodozmianowi, który, bądź co bądź, jest dziś kodeksem umiejętności rolniczej. Według niego głęboka orka zastąpi ten system, który też bezwzględnie potępia, nazywając doświadczenia Liebiga, Thaera i Ville'a *drobiazganiami*. (?)

Z równym lekceważeniem wyraża się autor o analizie chemicznej i polaryzacji, zapomocą których oznaczamy dziś cukrodajność buraków. Według niego najlepszą wskazówką buraka obfitującego w cukier jest dobre nasienie, gdyż drogą dziedziczności powinno ono wydać burak w cukier bogaty. P. Boczyński za wskazówkę najpewniejszą cukrodajności poczytuje workowaty kształt buraków, jako przedstawiający największą objętość. Z punktu teoretycznego dobra to wskazówka; czy zaś na przedniem nasieniu można opierać całą uprawę, to niżej zobaczymy.

Ramy mojego sprawozdania nie pozwalają mi wchodzić w inne szczegóły teorii autora; ograniczę się zatem na główniejszych, tu przytoczonych, nie w celu bynajmniej nicowania jego poglądów, jak to p. Boczyński czyni z Liebigem, Ville'm, Kurowskim i w ogóle z chemikami, ale dla podania jego teorii pod rozbiór krytyki naukowej.

Autor powiada rolnikom, że niepotrzebnie używają ziemię nawozem, gdyż tego dostarczy im w większym zasobie i z lepszym rezultatem atmosfera. Dalej że ta atmosfera posiada *kurz słoneczny*, obejmujący w nieprzebranjej ilości szczątki materij organicznych i mineralnych, do życia roślinie potrzebnych; a wreszcie dodaje, że powietrze zaopatrywanem jest w bogaty zasób cząstek mineralnych przez bolidy, to jest ciała pochodzenia kosmicznego, które nadto wytworzyć miały w ziemi rudy kruszcowe.

Rozbierzmy te kwestye. Atmosfera jest mieszaniną mechaniczną dwóch gazów, tlenu i azotu, a obok tego zawiera w sobie w małych ilościach kwas węglany i zarodki ciał organicznych. W 5,000 kwartach powietrza znajdujemy zaledwie 2 kwarty kwasu węglanego; z uwagi jednak na ogrom objętości atmosfery, ilość kwasu węglanego dochodzi w niej do 8,440,000,000 funtów, a tym samym aż nadto wystarcza do żywienia roślin na całej powierzchni kuli ziemskiej. Fiziologia powiada nam, że kwas węglany wraz amoniakiem rośliny pochłaniają zapomocą liści; dotąd wszakże ta piękna nauka nie wyrzekła, aby rośliny za pośrednictwem tychże organów czerpały

z atmosfery ciała mineralne i materje organiczne. Ciała te służą za pożywienie roślinom, ale te otrzymują ów pokarm z ziemi i opatrzone są w tym celu korzeniami, a rolnik w pierwiastki mineralne i ciała organiczne zasila grunt zapomocą nawozów. Dlatego też wydaje się nam mrzonką pogląd p. Boczyńskiego, który poczytuje atmosferę za niewyczerpany zbiornik materij mineralnych i organicznych, gdy tymczasem jest ona bardzo w nie uboga, jak to liczne doświadczenia analizy chemicznej wykazały. Ziemia bezwarunkowo musi w sobie zawierać materje mineralne, do rozwoju jej plonów potrzebne. W czystym piasku wschodzą wprawdzie ziarenka grochu, ale nie zawiązują nasion; nastąpi to dopiero wówczas, gdy do owego piasku dodamy soli wapiennych i potażowych.

P. Boczyński twierdzi że aerolity spadające z przestrzeni wskazują istnienie w atmosferze mas mineralnych, że one to wytworzyły rudy kruszcowe. Przyjmując to, autor dowodzi nieznamości procesu, jaki zachodził w czasie formowania się ziemi, oraz warunków towarzyszących tworzeniu się aerolitów. Te dostają się do naszej atmosfery z przestrzeni eterycznych; rudy zaś wytworzone zostały z materij płynnych, zapełniających wnętrze ziemi.

Wszystkie dane wiedzy przyrodniczej zniewalają nas do odrzucenia poglądu autora, którego zresztą hipoteza nie ma żadnej podstawy doświadczalnej, ani świadectw poczerpniętych z analizy naukowej.

Nie możemy się również z nim godzić na potępienie pługa, gdyż drapacz, brona i radło nie podolają grantom ciężkim, a z drugiej strony odwracanie podłoża wierzchem jest zawsze manipulacją najkorzystniejszą dla roli, nie zaś szkodliwą, jak p. Boczyński utrzymuje. Wszakże w skutek wietrzenia owego podłoża otrzymuje rolnik próchnicę grunt zasilającą; gdyby pozostawił warstwy wierzchnie, to te, porastając chwastami, stłumityby zasiane rośliny chlebobajne. Sam autor nawet przyznaje, że te chwasty, czyli tak zwana *dzięczyna*, stanowiąca zaporę dla wschodzenia nowych roślin, przez pług usunięta zostaje.

Z płodozmianem zbyt dorywczo i zamaszycie autor się załatwia. Belgia, Niemcy i Francja zawdzięczają przecież tej metodzie swe piękne urodzaje. Głęboka orka nie zastąpi nigdy ani płodozmianu, ani nawozów, będzie tylko środkiem pomocniczym, mechanicznie wpływającym na urodzajność gleby. Niech autor na skale posieje żyto, niech nada temu gruntowi jaknajwiększą porowatość, a przecież atmosfera, ta mniemana dostarczycielka nawozów mineralnych i organicznych, nie wpłynie bynajmniej na rozwój żyta. Skala nie obrodzi, co by nastąpić powinno, gdyby teoria autora była uzasadniona. Odpowiedź nam zapewne p. Boczyński, że skale brak fizycznych warunków do życia roślinie potrzebnych; ale w takim razie przyzna, że w łonie ziemi *muszą być owe materje*—po cóż więc szukać ich w atmosferze?

Odnosnie do buraków, autor poznanie ich cukrodajności opiera na dobrém nasieniu i zaleca wydające owoc kształtu workowatego. Zapomina jednak wyraźnie o tém, że pogląd ten, arcypiękny w teorii, nie może być normą w praktyce. Jakoż najlichsze nasienie buraczane wydać może buraki workowate na dobrym gruncie—i odwrotnie, najlepsze nasienie zrodzi w lichej glebie buraki marchewkowate lub rzepakowate. *Natura gruntu* więcej wpływa na dobroć plonów, niż nasienie, a tym samym niepodobna na podstawie proponowanej przez p. Boczyńskiego się opierać.

W rezultacie pracy autora nie zalecają takie doświadczenia, któreby w czémkolwiek jego teorię popierały, co tym więcej nas dziwi, że dziś każda hipoteza poszukuje podstaw w doświadczeniach, w braku których nie ma prawa głosu. Prób, na które się autor powołuje, nie możemy w żaden sposób za poważne i naukowe poczytywać.

Nie zgadzając się jednak na poglądy p. Boczyńskiego, nie myślimy bynajmniej uwłaczać jego pracy, choćby z tego względu, że powodował

się w niej widocznie myślą oparcia rolnictwa polskiego na drogach wiodących do dobrobytu.

Drugim nabytkiem w naszej literaturze naukowej jest *Kurs przygotowawczy zoologii*, opracowany przez p. Chmielewskiego. Autor w dziełku swém łączy indukcją z dedukcją i dodaje elementarny zarys państwa zwierzęcego, z wielką znajomością przedmiotu skręślony. Na układ książki wszakże nie godzimy się z wielu względów. Autor, rozdzielając zwierzęta na kręgowce, stawonogi, robaki, mięczaki, promieniaki i zwierzęta nieregularne, poświęcił tylko 41 stronie szczegółowym opisom dwudziestu rodzajów, odnoszących się do powyższych gromad, resztę zaś zawarł w tablicy, będącej prosto słownikiem pozostających rodzajów. Praca autora tém samym jest wielce treściwym i skromnym podręcznikiem przygotowawczym, a w tych nieponętnych ramach nie może zaciękawiać dzieci, jakkolwiek pod względem naukowym przedstawia cechę użyteczności. Praca to maluczka, a szkoda; z próbki tej bowiem widzimy, że autor mógł napisać bardzo zajmującą książkę, gdyby szerszej przedmiot rozwinął. Niewłaściwie też p. Chmielewski nazywa zwierzęta stawowate *stawonogiemi*, gdyż nietylko ich nogi, lecz całe ciało ze stawów jest złożonem. Podobnie zamiast żyłatek, znajdujemy termin: *zwierzęta nieregularne*, nieodpowiedni ani językowi, ani cechom osobników tę faunę składających. W terminologii rodzajów autor niezawsze jest szczęśliwym, chociaż z drugiej strony wprowadza do klasyfikacji zmiany wielce pożądane. Wogóle zoologia autora, jako książka szkolna przygotowawcza, jest pracą użyteczną, lecz zyskałaby wiele na wartości, gdyby p. Chmielewski bardziej szczegółowo ją opracował i poznał młodych czytelników z ciekawymi rysami obyczajowemi świata zwierzęcego. Czternaście tablic litograficznych, obejmujących starannie wykonane rysunki, zdobi to dziełko.

Wincenty Niewiadomski.

EDWARD WINDAKIEWICZ.

Zołnierz, który w walnej bitwie zdobył sobie szlify, dostaje miano walecznego, a ludzie patrzą nań jak na bohatera. Żeglarz, co staje do zapasów z burzą i otchłaniami morza, jest mężnym.... Ale górnik co się spuszcza do wnętrzości ziemi aby uderzeniami młota wydzierać jej skarby, w pojęciu mas jest tylko cichym, biędnym robotnikiem, który z ostatniej konieczności chwytą się tego rodzaju pracy.

Tak jednak nie jest; ten cichy pracownik odziedziczył po ojcu kilof górniczy i ukochał go duszą całą. Przywiązał się do ciemnych krużganków kopalni i rozumie odgłosy podziemnych pieczar, tajemnicze, legendowe. Pośród czarnych cieniów i wilgocią ciekących ścian podziemia zdobywa on kawałek chleba dla ukochanej rodziny, marzy o niej, tęskni i praca ciężka a niebezpieczna nie budzi w nim ani wstrętu, ani trwogi.

Oto brzask poranku. Nad szybem kopalni stoi kilkudziesięciu górników, odmawiając modlitwę. Wokoło wszystko tchnie weselem i życiem, ale oni za chwilę spuszcza się do grobu, do kopalni. Oto już skrzypi lina górniczego kosza... i cała ta gromadka znikła w czeluściach szybu. Ani śladu z nich nie pozostało na ziemi, a czy wieczorem wyjdą z jej wnętrza.... któż to zgadnie?...

I tak codzień....

Aż przyjdzie chwila straszliwej katastrofy.... Ściany kopalni zatrząsą się od podziemnego wybuchu; krużganki szybów zalegną gruzami i odłamami skał, a pod ciężarem ich spoczną snem śmierci ci biędni robotnicy, którzy tn przynoszą swój trud i życie swoje, bez skargi, bez trwogi.

W roku zeszłym 30 grudnia w żupie solnej bocheńskiej wybuchł pożar. Nieostróżność maszynisty stała się przyczyną straszliwej klęski, która zabrała kilkanaście ofiar. Jedna iskra sprowadziła pożogę, która z niesłychaną szybkością ogarnęła podstemplowanie szybu *Beust*, a pożar ten wewnętrzny napełnił kopalnię falami duszącego dy-

mu, który wciskał się wszędzie. Dym ten wypełnił przestrzeń kondygnacji wyższej i gdy mu tu miejsca zbrakło, wtoczył się i do niższej, w której pracowało kilkudziesięciu ludzi. Niektórzy z nich ratowali się ucieczką, dla innych stała się już ona niepodobieństwem.

Dnia 2 stycznia r. b. zjawił się u wejścia do kopalni Windakiewicz, umyślnie z Wiednia na ratunek przybyły radca górniczy. Bacznym okiem zmierzył niebezpieczeństwo i postanowił stawić mu mężnie czoło. Poleciał puścić parę z kotłów do szybu *Beust*, celem rozpędzenia kłębow dymu, a następnie, zachęciwszy dobrym przykładem kilku dzielnych górników, zapragnął spuścić się do kopalni, aby po naocznym zbadaniu stanu rzeczy, zarządzić odpowiednie środki. Powstrzymano go od tego kroku, ale Windakiewicz znalazł jedną tylko obawę,—obawę niespełnienia swego obowiązku. W towarzystwie trzech górników wszedł do kosza i spuścił się do szybu...

Po półgodzinnym próżnym oczekiwaniu na jakikolwiek znak, że mężczyźni ci ludzie szczęśliwie stanęli w kopalni, spuszczone drugi kosz i, niestety, przekonano się o smutnych następstwach kroku Windakiewicza. W pierwszym koszu znaleziono trzech górników omdlałych—Windakiewicza pomiędzy nimi nie było. Szlachetny ten człowiek musiał omdleć także i z kosza wypaść do szybu...

Natychmiast tedy wyciągnięto nieprzytomnych górników i zarządził środki ratunku dla Windakiewicza. Otworzono dwa szyby, w celu spuszczenia powietrza do kopalni *Beust*, spuszczone się do jej wnętrza i znaleziono martwe ciało bohatera obowiązku.... Nieszczęśliwy miał śmierć okropną. Pogruhotany przez upadek z kosza, umarł wśród kłębow dymu....

Nieboszczyk należał do rzędu ludzi cichej, ale pożytecznej pracy. Górniczemu zawodowi poświęcił się z zamiłowaniem i kształcił się w nim nie tylko praktycznie, ale i teoretycznie. Zwiędził prawie wszystkie kopalnie Europy, w wielu z nich pracował, a wszędzie gromadził zapasy wiedzy górniczej, którą też umiał spożytkowywać dla kraju. W wielu kopalniach krajowych zaprowadził ulepszenia niezbędne; badał ich skarby, obliczał je, wskazywał gdzie i jak czego szukać należy. W roku zeszłym wydał bardzo poważną pracę p. t. „*Olej i wosk skalny w Galicji*,” celem zachęcenia do wyzyskania tego bogactwa kraju, złożonego we wnętrzu jego ziemi.

Windakiewicz pozostawił rodzinę w ubóstwie, bo ludzie, co się tak poświęcać umieją, najmniej myślą o zbieraniu majątku. Przekazał za to dzieciom swoim chlubne, choć bolesne, wspomnienie i cześć cichego bohaterstwa, które tak słusznie zaskarbia sobie wdzięczność wszystkich serc szlachetnych.

PRZESADY,

komedya w pięciu aktach,

przez

EDWARDA LUBOWSKIEGO.

(Dokończenie)

JULIA.

Drogi ojcze, pozwól że odejdę.

ZYLASTOWICZ.

Nie pozwolę. Siadaj tu przy mnie, skoro Lucyan powiada że się raz dowiedzieć muszę wszystkiego.

LUCYAN.

Ojcze, urządzasz jakiś trybunał na żarty, a tu żartów niema.

ZYLASTOWICZ.

Zatém mów-że!

LUCYAN.

Nie wiedziałeś zapewne, ojcze, w jakim celu bywał w naszym domu hrabia Artur.

ZYLASTOWICZ.

Kto ci to powiedział? wiedziałem doskonale, a poradziwszy się skutecznie pana Zdzisława, cieszę się właśnie stałą tego panięza nieobecnością.

JULIA I LUCYAN.

Co? co?

ZYLASTOWICZ.

Czemuż was to dziwi? Posłużyłem się homeopatycznym środkiem: na hrabiego użyłem hrabiego.

LUCYAN.

Chyba wielu szczegółów nie znasz?

ZYLASTOWICZ (*surowo*).

A poco mi one? Ufam memu dziecku, że się nic złego nie stało. Wszak tak, Julciu?

JULIA (*z płaczem*).

Drogi ojcze!

ZYLASTOWICZ.

Ufałem też tak szlachetnemu młodzieńcowi, jakim jest pan Orski. Biedna moja dziewczyna! Nie znając prawie swjej matki, chowała się jak Bóg zdarzył, rojąc nieraz w swjej głowce cudowne, lecz na pajęczynie utkane marzenia. Jam to widział, bolał nad tēm, ale jej nie winił, tylko los, który ją pozbawił jedynęj prawdziwój opiekunki. Smutna, zapłakana nieraz, pognębiała zawsze, nagle mi się uśmiechać poczęła. Miły Boże! pomyślałem—jakież szczęście! A któż pomógł do tego szczęścia? Ten młodzieniec, którego niebo wprowadziło w progi mego domu. Czegóż więc miałem się lękać? Jeśli takie przeznaczenie, jeśli dziecko moje kocha, jeśli i on jej wzajemny...

JULIA.

O tēm nie wiesz, ojcze.

ZYLASTOWICZ (*zrywa się*).

I to prawda dalibóg, ale to mi się jakoś zdawało. Cóż ty na to, panie Zdzisławie?.. Wahasz się? Ja stary, który bałem się hrabiów, jak diabeł święconego kropidla, dziś pierwszy proszę cię o szczęście dla mego dziecka, a ty się wahasz, panie Zdzisławie? Wszakże się kochacie? Julciu, co? powiedz zaraz...

JULIA.

Nie udrećzaj mnie, ojcze!

ZYLASTOWICZ.

Cóż znowu!... (*Na stronie*.) Boże, jeśli się pomylił! (*Głośno*.) Panie Zdzisławie, odsuńmy na bok formy świata i bądźmy szczerymi. Nie chcesz mojej dziewczyny?

LUCYAN.

Pan Zdzisław lęka się posagu.

ZYLASTOWICZ.

Alboż go własną pracą nie zrównoważy? Cóż to, do kroćset! przecie będzie moim spółnikiem. No, śmiało, bez tych fałszywych skrupułów, które często ludzi rozłączają na wieki. Ejże, panie Zdzisławie, bo się pobijemy. Cóżes mi się namarszczył?... milczysz?... Na Boga, zdaje mi się że on tu tylko przez omyłkę zawinął... Córko, zostaw nas...

ZDZISŁAW (*zatrzymując Julię gestem*).

Nie, nie, drogi panie. Nie pycha zamyka mi usta, lecz...

ZYLASTOWICZ.

Lecz?...

ZDZISŁAW.

Duma człowieka, który przyszedł do was szukać chleba, a każecie mu zabrać bogate wiano. Przez wdzięczność za czyn, na który się zdobędzie każdy człowiek uczciwy, oddajecie mi majątek, a pani, w uniesieniu chwili, swoje serce... i jeszcze chcecie bym się nie wahał?

ZYLASTOWICZ (*całuje go w czoło*).

Dumnym będę, jak nigdy, jeśli się pozwolisz nazwać moim synem, a córce mojej odmówiłbym błogosławieństwa, gdyby ciebie nie kochała z całej duszy. No, Julciu, zbliż się, powiedz czy...

JULIA.

Czyż mogłabym żyć bez twego błogosławieństwa?

ZDZISŁAW.

Ojcze! Julio! życiem całym odpłacać wam będę za tę chwilę szczęścia. Znalazłem w was rodzinę, przyszłość i spokój, od dziś do was należę... do ciebie, Julciu! jakkolwiek czas jeszcze pewien nauczymy się lepiej poznawać wzajemnie.

LUCYAN.

A teraz czy uściskasz wartogłowa, który od chwili gdy został silnym charakterem, o mało co grubego głupstwa nie spłodził?

ZDZISŁAW.

Najserdeczniej! (*Ściskają się*).

Scena 10.

CIZ I CIOTKA.

CIOTKA (*wpada*).

Cóż to wszystko znaczy? gdzie Julia? Zostawiliście mnie samę i jak widzę uradziliście coś bezemnie. (*Przystępując bliżej*.) Nie chyba złego, bo się wszystkim oczy śmieją. Aa... pan Orski!... Czy rzekł się już swego incognito?.. Julciu, mówże! (*Julia ją całuje*). Aha, całujesz mnie, to już wszystko rozumiem. Będiesz hrabiną. Tak, czy nie?

ZYLASTOWICZ.

I to prawda, pani siostrze, że kto wie czy tym razem nie jesteś bliżką prawdy.

CIOTKA (*klaszcząc w ręce*).

A co, nie mówiłam zawsze, nie przepowiadałam? Możecie mnie za to podziękować. Ale swoją drogą, żeby też nie poczekać na mnie... To pewnie, jak zwykle, twoja sztuczka, panie bracie.

ZYLASTOWICZ.

Cóż chcesz, Zefiryneiu, napłatałaś i ty mi dosyć sztuczek.

CIOTKA.

Ale koniec końców, stanęło na mojem. Z tēm wszystkiem, jakim cudem ty z twoim uporem i z twemi przesadami zgodziłeś się tak łatwo?

ZYLASTOWICZ.

Przyznam ci się w pokorze ducha, że z takim człowiekiem jak Zdzisław poszło mi to bardzo łatwo, a potēm ten mój przesąd był, co prawda, śmieszny.

LUCYAN.

Pociesz się tēm, mój ojcze, że i duma arystokratyczna śmieszny jest przesądem.

ZDZISŁAW.

Jeden i drugi, sam rzekłes to, panie, znikają wtedy, gdy się zejdzie uczciwy z uczciwym, a ja dodam: zniknęłyby nazawsze, gdybyśmy się nauczyli cenić w sobie samych przedewszystkiem charakter.

CIOTKA.

Mówcie sobie co się wam podoba, ja wiem tylko tyle, że zaraz po ślubie pojedę z Julią do teatru, a gdy wychodzić będziemy, każę lokajowi krzyżać na całe gardło: karéta pani hrabiny Orskiej!

Koniec.

Co jej zostało?

Słońce usnęło na łożu z koralami,
Okryte chmurek złocistą oponą;
Nieśmiałe gwiazdy drżącym blaskiem płoną,
Księżyc twarz bladą ukazuje w dali.

Cisza... i tylko morze wciąż się żali,
Z niemą pogrózką marszcząc ciemne łono.
Bałwany szepcą swą pieśń nieskończoną
I łódź rybacka jak ptak mknie po fali.

A w łodzi widać zakochanych dwoje,
Co zamieniają drobne muszle szare,
Wraz z przysięgami na miłość i wiare—
I otuleni w mgły przejrzystej zwoje,
W słów czarodziejskich dźwięki zasłuchani,
Marzą o szczęściu, nad brzegiem otchłani.

Co to jest szczęście? któż zbada? kto zgadnie?
Wyrazu tego moc tajną kto zmierzy?
Szczęście jest niby kwiat paproci świeży,
Co rzadko kwitnie i opada snadnie.

Szczęście jest niby droga perła na dnie,
Po którą nurek w głębie morza bieży;—
Szczęście jest niby ognik z nad wybrzeży,
Co na moczary zaprowadza zdradnie.

I jasných marzeń runęły świątynie...
Chłopiec, chcąc wawrzyn zdobyć pracą krwawą,
W nieznane kraje pogonił za sławą.
A cóż zostało nieszczęsnej dziewczynie?
Gorycz z spełnionej doświadczenia czary
I kruche szczątki drobnęj muszli szaręj.

Marya Elżbieta.

Nekrologia półroczna.

K r a j o w a.

1. W ostatnich dniach grudnia r. z., w mieście Winnicy, w gubernii podolskiej, umarł w 70 roku życia jeden z najbogatszych tamtejszych mieszkańców, st arozakonny WEINSTEIN, który większą część swojego majątku przeznaczył na cele dobroczynne. Obszerniejszą o nim wzmiankę daliśmy niedawno w kronice tygodniowej.

2. Dnia 11 stycznia 1876 r. umarł w Warszawie WOJCIECH GROCHOWSKI, profesor i literat. Portret jego, wraz z obszernym życiorysem, umieszczony był w Tygodniku Ilustrowanym w n. 4-tym z r. b.

3. JÓZEF DROPSY dr. medycyny, rodem Krakowianin, zakończył życie 6 lutego 1876 r. w Zaslawiu, gdzie osiadłszy jako domowy lekarz rodziny Sanguszków, przez lat kilkadziesiąt przebywał, nie przyjąwszy ofiarowanej sobie poprzednio katedry w Krakowie. Śledząc ciągle postęp nauki, a zwłaszcza elektro-magnetyzmu, zaczął pisywać naukowe w tym przedmiocie dzieła i rozprawy, które wkrótce zwróciły na niego uwagę znakomitości medycznych za granicą, szczególnie w Paryżu, gdzie system jego największe znalazł uznanie, a jedno z jego dzieł wysoką naukową nagrodą uwieńczono.

Z ostatnich prac jego zaznaczamy: 1) Elektryczność i magnes w stanie zdrowia i choroby człowieka, dzieło pod względem fizyologicznym, patologicznym i terapeutycznym na nowych odkryciach oparte, wydane początkowo po francuzku i podobno przez samego autora na język polski przełożone. 2) Zasady ogólnego zastosowania elektryczności, w celu fizyologi-

cznym i terapeutycznym, na nieznanym odkryciach oparte, wydane po polsku w Warszawie, w roku 1870.

4. We wsi Krykianach, w gubernii wileńskiej, w powiecie święciańskim, umarł d. 19 lutego 1876 r. WINCENTY SMOKOWSKI, rysownik i malarz historyczny. Urodzony w roku 1797, kształcił się na artystę w akademii petersburskiej i wtedy, na prośbę Mickiewicza, wykonał pierwsze znane publiczności rysunki do *Konrada Wallenroda*, wydanego w Petersburgu w r. 1828. Po ukończe-

niu akademii, wszedł na wydział lekarski w Wilnie i uzyskał stopień lekarza. Następnie był nauczycielem malarstwa i rysunków przy uniwersytecie wileńskim. Później przybył do Warszawy, gdzie objął posadę lekarza miejskiego, a w wolnych chwilach zajmował się malarstwem olejnym i rysunkiem. Obrazy jego „Jan Kochanowski z Urszulką“, „Jagiello i Jadwiga“, oraz sceny ludowe zyskały uznanie na wystawie warszawskiej.

S. p. Smokowski pierwszy u nas wskrzesił rytowanie. Drzeworyty jego znajdują się w dziełach:

„Biblioteka starożytna“ K. Wł. Wójcickiego, „Obrazy starodawne“ tegoż, „Starożytna Polska“ M. Balińskiego i T. Lipińskiego (herby miast i ziem), „Niezapominajki“ noworocznik K. Korwella, „Snopek nadwiślański“, „Witolorauda“ J. I. Kraszewskiego, „Niewiasty polskie“ K. Wł. Wójcickiego, „Ramoty i Ramotki“ Wilkońskiego, „Kalendarzyk polityczny“ F. Radziszewskiego, „Album Warszawskie“ K. Wł. Wójcickiego. Prócz tego pisywał liczne artykuły do „Ate-neum“ wileńskiego, „Albumu warszawskiego“, „Roztrząsań naukowych“, „Dzwonu literackiego.“ Skręślił także życiorysy Orłowskiego, Rustema i Wańkowicza.

Największą wartości są Albumy Smokowskiego, obejmujące jego rysunki kręda i ołówkiem wykonane.

5. Zmarły w dniu 27 lutego 1876 r. w Warszawie SEWERYN OLESZCZYŃSKI, zasłużony kaligraf i litograf, urodził się w r. 1801. Początki nauk pobierał u znakomitego w literaturze naszej Grzegorza Piramowicza, a do szkół chodził w Opolu. W r. 1815 przybył do Warszawy i już, jako urzędnik kancelaryi Rady stanu, uczył się na kursa rysunków w uniwersytecie. W r. 1825 wysłano go kosztem rządu do Niemiec i Francji, dla udoskonalenia się w sztuce litograficznej. Za powrotem mianowany r. 1827 rządcą litografii szkolnej, przeszedł



Edward Windakiewicz.

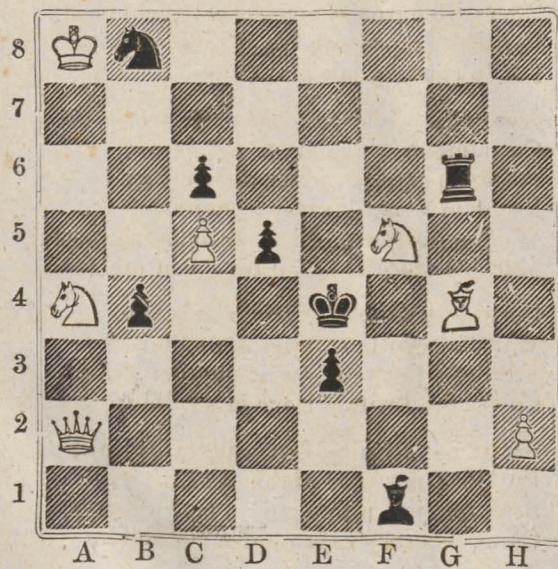
98

SZACHY.

ZADANIE XXX.

Białe zaczynają i dają mata za 3 posunięciami.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 29.

Białe.

Czarne.

- 1) D8—C8 † 1) C6—C5.
- 2) F3—A8 2) C5—C4.
- 3) C8—B7 3) D6—D5.
- 4) B7—C7 † i mat.

NAKŁAD JÓZEFA UNGRA.

DZIEŁA Zygmunta Kaczkowskiego

przejrzane i uzupełnione przez autora.

TOMÓW JEDENAŚCIE.

Jest to wydanie na pięknym welinowym papierze, każdy tom objętości około 25 arkuszy ścisłego druku, z wizerunkiem autora i poglądem krytycznym przez W. Korotyńskiego.

CENA:

Dla prenumeratorów Tygodnika ilustrowanego.

w Warszawie za 11 tomów . . . rs. 10.

w cesarstwie i na prowincyi . . . „ 11.

W ozdobnej oprawie zagranicznej en relief:

w Warszawie za 11 tomów . . . rs. 14 kop. 40.

w cesarstwie i na prowincyi . . . „ 15 „ 40.

Dla nieprenumerujących Tygodnika lub Wędrowca cena podawaja się.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3).

REBUS.

199



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 32.
Dobrze czynić bliźnim, nauka Chrystusa nakazuje.

następnie do banku polskiego, gdzie od r. 1837 będąc dyrektorem litografii, znacznie takową udoskonalił, zdolnych pracowników ukształcił i wielu własnymi wynalazkami odznaczył się, mianowicie w cynkografii, którą wspólnie z J. F. Piwarskim do nieznanego u nas przedtem doskonałości doprowadził. W r. 1862 otrzymał emeryturę.

Z prac jego artystycznych, oprócz licznych i dobrze wykonanych na kamieniu i cynku wizerunków, widoków, albumów i t. p., zasługują na wspomnienie niektóre wytwornie wykonane mapy.

6. Dr EMILIAN NOWICKI, nestor lekarzy tutejszych, umarł d. 4 marca 1876 r. we wsi Woli Pszczółeckiej, w powiecie łaskim, gubernii piotrkowskiej, przeżywszy lat 84. Życiorys jego, skróślony przez doktora Girsztowta, umieszczony był w nrze 291 Tygodnika Ilustrowanego z roku 1865.

7. Był członkiem b. Rady stanu, a od lat przeszło 40 radcą dyrekcji głównej Towarzystwa kredytowego ziemskiego, WŁADYSŁAW GRUSZECKI, zakończył życie w Warszawie, w d. 6 marca 1876 r. Życiorys jego daliśmy w n. 12 seryi III naszego pisma.

8. WŁADYSŁAW ŚWIESZEWSKI, zdolny artysta dramatyczny, umarł w Warszawie d. 7 marca 1876 r. Urodzony r. 1834, ukończywszy w Płocku gimnazjum, poświęcił się zrazu biurowości, dopóki w r. 1852, zachęcony przez ś. p. Józefa Komorowskiego, nie oddał się zupełnie zawodowi scenicznemu.

Tegoż roku d. 20 czerwca wystąpił w teatrze Rozmaitości, w komedii „Rozwód“ i dramacie „Piotr marynarz.“ Odtąd grywał z powodzeniem rolę kochanków, trzpiotów, pustaków, jaśniejąc w nich swobodą i trafnym zrozumieniem charakteru. Ostatni raz wystąpił jako Frank w „Fortepianie Berty“ d. 1 września 1866 r. Uległszy w tym czasie chorobie umysłowej, zakończył życie w szpitalu obłąkanych. Zmarły Świeszewski był także tłumaczem wielu dzieł dla sceny warszawskiej.

9. Kompozytor muzyczny JÓZEF STEFANI umarł w Warszawie d. 19 marca 1876 r. Życiorys jego zamieścił Tygodnik w n. 14 seryi III.

10. Doktor FRANCISZEK GROER, naczelny lekarz szpitala św. Ducha, zmarł w Warszawie d. 20 marca r. b. Biografią jego wydrukowaliśmy w n. 17 seryi III Tygodnika ilustrowanego.

11. Urzędnik b. ministerstwa oświecenia, później członek komitetu cenzury, a od lat kilkunastu emeryt, KAJETAN NIEZABITOWSKI, zakończył życie w dniu 17 kwietnia 1876 r. w Warszawie. Zmarły urodził się r. 1800 we wsi Kulakacz na Żmudzi. Po studiach w uniwersytecie wileńskim odbytych i dosłużeniu się na posadach wyżej wymienionych emerytury, Niezabitowski oddał się przeważnie pracy nad nauką języka litewskiego. Zostały po nim w rękopismach: „Gramatyka języka litewskiego“ i „Słownik polsko-litewski,“ tudzież „Historia Litwy.“

12. HIRSCHFELD LUDWIK, doktor medycyny i chirurgii b. profesor uniwersytetu warszawskiego, zmarł dnia 10 maja 1876 roku w Warszawie. Życiorys i portret jego znajduje się w numerze 21 Tygodnika Ilustrowanego z r. b.

13. JAN NĘPOMUCEN DĄBROWSKI, inspektor handlowy, zmarł w Warszawie dnia 15 maja 1876 r., przeżywszy lat 59. Napisał kilka powieści, z których „Córka aptekarza“ drukowaną była w „Gazecie teatralnej“ Kiesewetera w 1843 r., niemniej komedye p. t. „Wróżka“ i „Kasa oszczędności.“ „Wróżkę“ poraz pierwszy grano na scenie warszawskiej dnia 9-o grudnia 1842 r. Przez lat parę zmarły był także recenzentem teatralnym b. „Gazety Codziennej,“ za redakcyi Krupskiego. Recenzje te podznaczał literami J. N. D.

14. WŁADYSŁAW CHOMĘTOWSKI, utalentowany literat, zmarł w Warszawie d. 21 maja r. b., mając lat 48. Życiorys jego wraz z wizerunkiem zamieściliśmy w n. 23 seryi III Tygodnika.

15. FELIKS MIKORSKI, bajkopisarz i obywatel ziemski, wydał w roku 1868-9 „Bajki“ swe w Warszawie w dwóch częściach, a w r. 1873 też same „Bajki“ z drzeworytami. Zasiłał nie-

mi także nasz Tygodnik i „Przyjaciela dzieci.“ Zmarł dnia 7-go czerwca r. b. w Ciechocinku.

16. Zmarły 12 czerwca r. b. ADAM KORCZEWSKI, po ukończeniu nauk gimnazjalnych, wstąpił do istniejącej wówczas akademii medyczno-chirurgicznej, lecz czując, że wątłe zdrowie nie dozwoli mu odbyć wszystkich studyów akademickich, uczęszczał przez dwa lata tylko na kursa czysto przyrodnicze. Po śmierci ojca odziedziczył majątek ziemski, który wkrótce sprzedał, z powodu odziedziczonych razem z nim kłopotliwych interesów, a dorobiwszy się rządzą gospodarką dzierżawczą, nabył nieruchomości w Wilnie, gdzie od r. 1866 aż do końca życia przebywał. Domy swe, wartości około 22,000 rubli, przekazał istniejącemu od r. 1808 wileńskiemu Towarzystwu dobroczynności, z warunkiem ażeby z dochodów utrzymywało w ciągu kursów gimnazjalnych, a po ich ukończeniu wspierało dostateczną zapomogą trzech biednych młodzieńców z rodziny Korczewskich, a jeżeli kandydatów tego nazwiska zabraknie, trzech innych ubogich krajowców, wyznania rzymsko-katolickiego.

17. Znany z projektu urządzania tam na Wiśle, ś. p. JAN DANISZEWSKI, do samej śmierci pracował nad zbudowaniem małego pogłębiającego się statku. Zmarł dnia 27 czerwca w majątku Kielczewice, w skutek apopleksyi.

Z a g r a n i c z n a.

1. We wsi Bereźnicy, w powiecie stryjskim w Galicyi, umarł, sędziwych lat dożywszy, w dniu 22 stycznia 1876 r. SEWERYN KORZELIŃSKI, autor zajmujących wspomnień z czasu gdy był kopaczem złota w Australii, które wydał w Krakowie w 2-ach tomach r. 1858 p. t. „Opis podróży do Australii i pobytu tamże od roku 1852 do 1856.“ Od r. 1860 był dyrektorem szkoły agromicznej w Czerniechowie nad Wisłą, niedaleko Zatoru; ostatnie lata spędził w ustroniu wiejskim.

2. FELIKS ZIELIŃSKI, niepospolity prawnik i ekonomista, umarł d. 23-go stycznia 1876 r. w mieście Rapollo pod Genuą, dokąd się był udał, dla poratowania nadwątlonego zdrowia. Zieliński urodził się w Warszawie w r. 1817 i tu odbywał nauki początkowe, uniwersyteckie zaś ukończył w Królewcu. Wstąpiwszy w Warszawie do służby rządowej, był w końcu sekretarzem stanu przy Radzie stanu, aż do zwinienia tej instytucyi. Jako jeden z założycieli i współredaktorów *Biblioteki warszawskiej*, zamieszczał w niej wiele artykułów tyczących się prawnictwa, administracyi, ekonomii społecznej i krytyki literackiej.

3. SEWERYN GOSZCZYŃSKI, znakomity poeta, umarł dnia 25 lutego 1876 r. we Lwowie, w 73 roku życia. Urodził się w Ilinicach, w powiecie lipowieckim, gubernii kijowskiej. Kształcił się w Międzyrzeczu u ks. ks. pijarów, w Humaniu u ks. ks. bazylianów i w słynnym gimnazjum podolskim w Winnicy. Następnie mieszkał w Warszawie, gdzie oddał się zawodowi piśmienniczemu.

4. TEODOR TOROSIEWICZ, znany w świecie naukowym chemik, właściciel apteki we Lwowie, umarł 2-go marca 1876 r. tamże. Wszystkie niemal lecznicze zdrojowiska w Galicyi mają mu wiele do zawdzięczenia, gdyż pierwszy poddał ich wody umiejętnemu rozbiorowi chemicznemu. Rozebrał mianowicie wody zdrojowiska w Szczawnicy, Swoszowicach, Podgórzu, Truskawcu, Lubieniu, szlam w Kosowie; wynalazł wiele źródeł solnych; przez kilkadziesiąt lat zbierał daty, wskazujące obecność węgla kamiennego w naszym kraju, a cokolwiek odkrył albo zbadał, zaraz własnym kosztem ogłaszał, aby ściągnąć uwagę szerszych kół na odsłonięte przez siebie skarby. Ogłosił więcej niż sto rozpraw naukowych, głównie sprawozdań z chemicznych badań swoich.

5. ALEKSANDER KURTZ, b. członek b. Rady stanu królestwa polskiego, umarł 18 marca r. b. w Krakowie, mając lat 62. W ostatnich latach życia był dyrektorem banku galicyjskiego handlowo-przemysłowego.

6. ELŻBIĘTA z HR. BRANICKICH HR. KRASIŃ-

SKA, wdowa po Zygmuncie Krasińskim, autorze „Nieboskiej komedyi“ i „Irydiona,“ później małżonka Ludwika hr. Krasińskiego, zmarła dnia 15 maja 1876 r. w Krakowie. Uczeń Ary Schefera, odznaczała się pięknym talentem malarskim i zostawiła po sobie znaczną liczbę obrazów, w których mianowicie oblicza świętych postaci celując prawdziwie nadziemską pięknoscia. Dobroczynność jej powszechnie była znana.

7. Znany w piśmiennictwie naszym pod pseudonymem Jadama z Zatora, ADAM GORCZYŃSKI, zmarł w 75 roku życia we wsi Bereźnicy pod Krakowem, dnia 21-go maja r. b. Życiorys jego podał nasz Tygodnik w n. 25 seryi III.

8. Marszałek sejmku poznańskiego i członek izby panów sejmku pruskiego, EDWARD HR. POTWOROWSKI, zmarł w wielkim księstwie poznańskim, licząc 83 lat wieku.

9. Pierwszy skrzypek wielkiej opery paryskiej, członek konserwatorium JÓZEF TELESIŃSKI, zm. w Paryżu w domu zdrowia dra Dubois, przeżywszy lat 46.

NA ROZDROŻU.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH,

przez

Deotymę.

TOM DRUGI.

(Dokończenie.)

— O, już to pewne—zawołała Cecylia, śmiejąc się wesoło—że jestem na zawsze wyleczona ze schadzek. Wróciłam do domu złamana, nietyle moim upokorzeniem, co nieudaniem się zamiaru. Cóż było robić? Wiedziałam że pan Odoniec nazajutrz wyjeżdża. W rozpacz odważyłam się na ostatnie kłamstwo i krok najszaleńszy: pojechałam do państwa Moszkowickich, a poszłam na drugą stronę schodów. Służący pański nie miał ochoty wpuścić nieznaną; ale przygotowałam talizman: słowa, że przynoszę ważną wiadomość dotyczącą się Włoszki Romany, otworzyły mi wrota. Al już kiedy pan Odoniec zastał mnie u siebie, nie mógł się obronić prawdzie, musiał wszystkiego wysłuchać i dać się porwać. Wystaw sobie, panie Różycu, osłupienie, rozczulenie mamy, kiedy najniespodzianie stawiam przed nią pana Tytusa, przekonanego i skruszonego. Już co ja, to myślałam że oszaleję ze szczęścia. Padamy do nóg mamie, błagamy aby nakoniec oddała swoją rękę panu Tytusowi, aż oto... cóż pan powiesz? Mama zaczyna się namyślać, ostatnie słowo odkładać, i do tej godziny jeszcze nie dała się namówić. Niechże nam pan pomaga w prośbach, bo już nie wiemy co robić.

— Najjaskawsza pani—zaczął Różyc—i ja najpokorniej łączę głos mój...

Ale pani Irena przerwała:

— Moi drodzy, jakże możecie mi się dziwić? Wahałam się przed dziesięciu laty, choć byłam jeszcze w sile wieku, pełna wiary w szczęście... a nie mam się wahać dzisiaj, kiedy tyle cierpienia i zwątpienia odjęło mi odwagę? Bo trzeba odwagi, aby wstępować w związki nowe, i to po raz trzeci, rozpoczynać niejako życie w chwili, kiedy się już powinno myśleć o innym życiu, bo jeszcze kilka lat, a przyjdzie starość, z nią inny pogląd na wszystko. Zresztą, po co przesądzać przyszłość? Dzisiaj dajcie mi się nacieszyć chwilą pojednania, tym prawdziwym ślubem dusz naszych.

Mówiąc, spojrzała smętnie na pana Tytusa. Ten milczał, i ujawszy ze stołu sztylet, oglądał go w głębokim zamyśleniu.

— Jakimże sposobem wrócił do pani?—zapytał.

— Znalazłam go w biurku męża.

— A ja—dodała Cecylia—chowam go jako straszną, ale i drogą relikwią, boć to przecież na nim jest krew mojej świętej.

XII.

Tu wstała i pieszczotliwym ruchem nieco uchyliła koronkową mantylę matki; pod białym ramieniem ukazał się początek blizny, widoczny jak sina niteczka, na której córka złożyła gorący pocałunek.

Panu Tytusowi na widok tej rany, dla niego poniesionej, oczy zamglily się rozrzewnieniem i łza kroplista zwisała mu na rzęsie.

W tej chwili wszedł Sebastyan ze swoją staroświecką miną i staroświeckim ogłoszeniem: Waza na stole.

Panie i panowie ruszyli dwiema parami, i obśiedli stolik czworograniasty, jaśniejący od kwiatów i starych rodzinnych sreber. Obiad okazał się prawdziwym arcydziełem sztuki kucharskiej; Cecylia dzisiaj nie szczędziła specyałów.

Obie panie były rozpromienione; zato pan Tytus jakiś dziwny. Nie sarkastyczny, ani ponury, broń Boże! ale łagodny i cichy, jak nigdy. Czasem zdobywał się na wesołość, która wnet gasła, jak sztuczny ogień.

Wiesław także niewiele mówił. Pod ogromem nowych odkryć i nowego szczęścia, nie mógł trafić do ładu z własnymi myślami. Jadł, nie wiedząc sam co spożywa, rozmowy słuchał z roztargnieniem, a duszą co chwila zapadał to w przeszłość, to w przyszłość. Od czasu do czasu uśmiechał się mimowoli. Jeszcze nietylko dwadzieścia lat, ale dwadzieścia godzin nie minęło, a już się uśmiechał nad swoją Werterowską przechadzką o świecie, nad niedoszłą dymisją, wyjazdem nazawsze, a nade wszystko nad listem pani Ireny, który jeszcze nosił w kieszeni.

Po obiedzie powstał zamiar przejażdżki do Wierzbna.

W obawie czy niebo się nie chmurzy, Cecylia wybiegła na ganek. Wiesław poszedł za nią. Dzisiaj nie było przed nimi księżyc, ale był wspaniały, pałący się uroczyście, jak pochodnia hymenu, zachód słońca, który rzucał płomieniste połyski na warkoczową koronę Cecylii.

— Jak ja panią dotąd mało znałem—szepnął Wiesław.—Zdawało mi się że oblicze i dusza pani tehną dziecięcą swobodą, że pani jeszcze nigdy nie kosztowałaś gorzkich owoców z drzewa świadomości. Teraz... patrz... innymi oczami: umiem dojrzeć nietylko w słowach, ale nawet w uśmiechu pani, ślad długich rozmyślań i boleści.

— Nie dziwi mnie złudzenie pana. Przez dziesięć lat w Złotopolu nauczyłam się tać wszystkie myśli, zacięrać wszelki wyraz na twarzy, na której też w końcu wyrobił się rodzaj nieruchomej maski. Dzisiaj jeszcze nie mogę od niej odwyknąć, ale w chwilach głębokich wzruszeń sama spada...

I spojrzęła na Wiesława z wyrazem, który dowodził że to właśnie była chwila głębokiego wzruszenia.

Młodzieniec ujął jej rękę.

— Pani... — rzekł — Cecylia... Przed tygodniem, dzisiaj właśnie tydzień... mówiłaś mi tu słowa, których zrozumieć nie mogłem, o dopełnieniu ważniejszych obowiązków, o zapewnieniu cudzego szczęścia. Ależ teraz już te obowiązki dopełnione. Czyż więc teraz nie mógłbym usłyszeć ostatniego słowa?

Cecylia zamyśliła się, a nawet nieco zachmużyła.

— Panie Wiesławie, na ostateczne słowo czy jeszcze nie zawczasie? Gdybym powiedziała że nikt mi się tyle co pan nie podobał, nie byłby to wielki komplement, bo prawdę mówiąc nikogo nie znam, z nikim się częściej nie widywałam, chyba z panem Alfredem, którego nie rachuję między ludzi wartych poznania. Zostaw mi pan nieco czasu na wypracowanie mojej duszy, na rozpatrzenie się po świecie i życiu. Pan zapewne już nie potrzebujesz wyrabiać swoich pojęć, ani ludzi badać, ale użyjesz tego czasu, aby sobie zdobyć poważne stanowisko społeczne, a potem—czy pan słyszałaś kiedy panią Ristori?

— Nigdy pani.

— Ale pan wiész jaki wyraz najpiękniej, sławnie wymawiała?

— Jakiż to wyraz?

— Vedremo.

— I cóż dalej? Obie pary pobrały się szczęśliwie?

— Ach, mili czytelnicy, czy uwierzycie? Dotąd jeszcze nie.

— To bardzo źle. Cóż warta powieść, której główne osoby ani się żenią, ani umierają?

— Przyznaję, niewiele warta. Ale jeśli ma zaletę jaką, to chyba swoją prawdziwość. Przez tyle rozdziałów, z kwakerskim uporem, trzymałam się rzeczywistych wypadków, odrzucałam kuszące podszepty wyobraźni, mamże na samym końcu rozminąć się z prawdą?

Nie godzi się, tém bardziej że takie zakończenie, oprócz fałszowania treści, przedstawiałoby fałsz duchowy.

Tylko w baśniach i na teatrze bohaterowie zapominają odrazu strasznych swoich przygód i długich nienawiści; jeszcze z krwi nie otrą mieczów, jakimi się ranili, a już wzajemnie rzucają się w objęcia, stary król błogosławi i wszyscy wielkim orszakiem weselnym, wielkim tutti z kotłami i puzonami żegnają publiczność, która też o ich losy już dalej niewiele się troszczy.

Ale w życiu inaczej. Długo zajętrzone rany długo się potrzebują goić. Wieloletnie urazy tylko się z latami zacięrają.

Odonicz nie mógł zaprzeczyć że był uszczęśliwiony, odkrywając niewinność i niezachwiane przywiązanie Ireny. Rozumował nad swoim szczęściem. Wmawiał w siebie, nakazywał sobie radość, nie była to jednak ta radość wielka i upajająca, której byłby doznał przed laty.

Nadto długo przyzwyczaił się uważać Romanę za swoją ofiarę, a Irenę za swego kata, aby odrazu odwrócić te pojęcia. Teraz wstydział się wyrzutów sumienia wycierpianych dla pierwszej, wyrzutów serca rzucanych na drugą. Wprawdzie nie był im winien, przeznaczenie i złość ludzka w błąd go wprowadziły. Jednak dla duszy tak dumnej zaprzeczyć z dnia na dzień wszystkim swoim zdaniom, o! to próba twarda, zdolna wszelkie szczęście zachmurzyć.

Wiele go także kosztowało przyznanie się do tej zmiany przed Wiesławem. Nie mógł sobie teraz darować, czemu się przed nim wywnętrzył. Czemu dziesięć lat w milczeniu wytrzymał, nie wytrzymał jeszcze dwa dni dłużej? Ale któż mógł przewidzieć? Czy to nie prawdziwa feralność? Tajemnica zdawała się tylko czekać na jego zwierzenie, aby dopiero wtedy rozedrzyć przed nim zasłony.

A może też, na szali cierpienia, trzeba było tego ostatniego upokorzenia, aby zawzięty los przebłagać?

Ta zabobonna uwaga nieraz mu na myśl przychodzi i pierwsze wstrząśnienie z wolna się uspokaja. Nieraz, kiedy rozmowa go ożywi, kiedy głos Ireny go oczaruje, Odonicz zapomina o latach przerwy; zdaje mu się że siedzi przy wdo wie nie Pelkowej, ale Zapolskiej, że Cesia jest jeszcze mała, że mają w jakąś podróż jechać.

Ale niech w takiej chwili spojrzę na rękę Ireny, odwraca nagle oczy, ze zmieszaniem, prawie ze wstrętem... Ta ręka smukła, pięściwa, o którą tyle razy prosił, ta sama ręka... strach pomyśleć... zadawała śmiertelne ciosy... wprawdzie była w swoim prawie, w najświętszym prawie obrony; trzeba dziękować niebu że znalazła dość siły, aby odeprzeć napaść, a jednak...

— Niema żadnego a jednak—powtarza sobie niecierpliwie. Powiniennem czcić Irenę więcej, niż kiedykolwiek. I uśmiecha się znów i rozmawia, ale czar już zerwany i nieraz całe dni miną, nim znów pochwyti złudzenie przeszłości. A nawet choć je pochwytuje, to nigdy zupełnie. Ach, oboje tacy zmienieni!

Gdyby te lat dziesięć przeżyli blisko siebie, aniby spostrzegli różnicy. I nie mówię o zmianie zewnętrznej—ta obojgu raczej na korzyść wypadła. Co utracili z puszkowych, z motylić powabów pierwszej młodości, to druga młodość sówicie nagrodziła orlą potęgą spojrzenia, wyrazem rysów rozumniejszym i może namiętniejszym niż dawniej. Z postaci mogliby się podobać jak ni-

gdy, ale pojęcia! Ale pogląd na życie, a nade wszystko na miłość!

Gdzież jest owa wróżka, na której skinienie serca się zapalały, wyobraźnie budowały czarowne zamki marzeń? Monarchini wdzięków, której postać obsypana klejnotami rozjaśniała gmachy, a rozmowa iskrząca dowiecipem rozżarzała umysły? Gdzie nade wszystko owa niewinna zalotność, co potrafiła razem i wabić, i odsuwać?

Wróżka zmieniła się w posąg, piękny zawsze i godzien uwielbienia, ale nieruchomy, ze stopami przywalonemi od gruzów przeszłości. Zadługo na jej piersiach ciężył kamień przymusu i milczenia. Oduczyła się żądzy panowania, tryumfu, radości, wszystkiego, nawet skargi. Teraz, gdy się uśmiecha, to tylko aby drugim nie psuć wesołości, a gdyby nawet jeszcze odważyła się kochać, to już więcej dla cudzego, jak dla własnego szczęścia.

A Tytus? Irena nie może poznać swego łagodnego Endymiona w tym piorunującym Jowiszu. Młodzieniec lat dawnych, pełen wiary w uczucia, zapala dla zacnych myśli, rozmarzony o szczęściu domowym, ani podobny do potentata wiedzy, do rozsiadłego na złocie dyktatora hułaszczych biesiad, co na świat cały, a szczególnie na kobiety patrzy przez czarne szkło swoich zawodów.

Zawody te wprawdzie już się wyjaśniły, przyczyna co na duszy jego wycisnęła piętno goryczy, już dziś nie istnieje, ale wycisk na duszy został, i może się nigdy w zupełności nie zetrze.

Gdyby mu teraz przyszło stanąć z panią Ireną przed ołtarzem, nie wiem czyby szedł krokiem chętnym i wesołym. Czyby na własnym weselu mógł śmiało spojrzeć w oczy swoim adeptom, którym jako arcykapłan *życia dla użycia* tak świetnie wykladał anty-obowiązkowe zasady.

To też ostatnią odmowę Ireny przyjął z filozofią i rodzajem skrytej wdzięczności.

Pani Irena odgadła to wszystko. I nie potrzebowała namysłów, ani badań. Od pierwszej chwili, wzrokiem dawniej miłości, ogarnęła przepaść co ich dzieli.

Zaraz po pierwszym spotkaniu, kiedy koło północy Odonicz odszedł, Cecylia, ukłękłszy raz jeszcze u kolan matki, pytała ze łzami w oczach:

— Mamo kochana! Ja nie mogę mamy zrozumieć. Wszystko przewidziałam, oprócz tej odmowy. Przeszkody, jakie mama przytaczała, nie są dość ważnymi, aby odpychać szczęście tak długo czekane. Musi być jakaś inna przyczyna, jakaś jeszcze przeszkoda, a ja nieszczęśliwa nie umiałam ani jej odgadnąć, ani usunąć.

Matka długą chwilę się zawałała.

— Tak, Cesiu, jest przeszkoda, ale tej nikt na świecie nie mógł przeczuć, ani zaskoczyć. Nadto się prawdziwie kochamy, abyśmy miały przed sobą ukrywać jakąkolwiek myśl albo wrażenie. Otóż powiédź sama, czy pan Tytus przyjął tę wiadomość tak, jak się spodziewałaś? Nie nie mówisz? Twoje milczenie już dość mówi. Czekałam na pierwszy poryw uniesienia; od niego miała zależeć moja odpowiedź. Poryw nie przyszedł.

— Może to i prawda — odrzekła córka posępnie.—Ten człowiek niewart mamy.

— Nie, Cesiu, nie potępiamy go tak prędko. Uniesienie od woli nie zależy. Lepiej że nie udawał. Zapomniałyśmy że lata musiały go odmienić. Może i mnie znalazł inną, niżeliby żądał. Może nie byłby już wspomniął o małżeństwie, gdybyś sama tej myśli mu nie podsunęła. Przypomnij sobie: wszak po skończonych wytłumaczeniach, ty pierwsza zawołałaś: No, teraz już przecie mama nie odmówi ręki panu Tytusowi. Nie chcę ci, kochanie moje, wymawiać słów tych; wiem że wybuchnęły prosto z serca, w najlepszym zamiarze. Ale słysząc je, stanęłam w płomieniach. Złękałam się, żeby nie sądził że jesteśmy w zmoście. Ma się rozumieć, po tak wyraźnym wyzwaniu, nie mógł odkładać oświadczenia, ale już wiedziałam co o nich myśleć, i odmawiając, ucieszyłam się na widok jego spokojności. Tak, moja złota Cesiu, ucieszyłam się szczerze.

— Dlaczego, proszę mamy?

— Dlaczego? I to ty się pytasz? A przecież mam ciebie, czegoż mi więcej trzeba? Każdy nowy obowiązek odrywałby mię od ciebie, i zamiast dodawać, ujmowałby mi szczęścia. Wię Pan Bóg co czyni. Zesłał na mnie ciężkie próby, ale bez tych prób nigdybym nie wiedziała do jakiego stopnia mię kochasz. Teraz prócz ciebie już nie istnieje dla mnie. Chciałam odzyskać szacunek Tytusa i odzyskałam, dzięki twemu przeciwemu serduszkowi. Ale miłości już nie chcę, ach nie chcę żadnej, oprócz miłości mego dziecka.

Cecylia została mocno zdziwiona i troszkę rozczarowana niespodzianym zakończeniem dramatu, w którym się podjęła trudnej roli Opatrzności. Przez długie lata, w sercu i wyobraźni, snuła romans dla matki, jak inne snują go dla siebie. Tęskniła, cierpiała za drugich, i w tém przeniesieniu osobistości zdobyła wielki zysk duchowy, nauczyła się zaparcia, zapomnienia o sobie. To też niebiosy pomagały, wszystko się udawało... cóż kiedy epilog chybił... Tyle razy, na tle tęczowej przeszłości, widziała już matkę idącą pod ślubnymi szatami, do świątyni o rozbujanych dzwonach, opartą na ramieniu legendowego, niedoścignętego obłubieńca, że nie mogła się łatwo rozstać z tym wypieszczonym obrazem.

Trzeba też dodać, że widziała zawsze w nim i siebie, także opartą na ramieniu narzeczonego, ale oboje stali w cieniu, na ostatniem tle, jako postacie czysto dodatkowe. Kto miał być owym narzeczoną? To ją najmniej obchodziło. Czuła tylko, że w domu nowożeńców panna, i to jeszcze dorosła, stałaby się wielką zawadą. Postanowiła więc, na ukoronowanie szego dzieła, usunąć się z domu, aby matce zostawić wolne pole do nowych uczuć i powinności. Jedynym na to środkiem było, z chwilą zamęzcia matki, pójść także za męża, a już za kogo? To rzecz losu. To też kiedy los w samą porę podsunął jej Wiesława, ucieczyła się że niebo tak dobrze za nią wybrało i miała szczerzy zamiar oddać mu rękę bez odwołki.

Ale nieprzewidziane postawienie się pani Ireny, odmieniło nagle zamiary Cecylii.

Po piérszszej chwili zdumienia, uczuła radość niesłychaną. Wię już nie miała potrzeby usuwać się z domu! Wię mogła nie rozłączać się z matką!

Wprawdzie matka wstawiała się za Różycem.

— Pomyśl, moja Cesiu—mówiła częstokroć—zdrowie moje bardzo już zachwiane, może mnie zabraknąć na świecie. Byłoby samolubstwem z mojej strony nie troszczyć się o twoją przyszłość. A z kimże znajdziesz pewniejszą, jak z tym człowiekiem wzorowym, co stworzony się zdaje na dobrego męża?

Cesia nie zaprzecza wysokich zalet Wiesława. Przyznaje nawet że jest bardzo, ale to bardzo miły.—Tylko, dodaje, najdroższa mamuniu, po co naglić? Tyle naszego co przeżyjemy we dwie, a gdy chodzi o zmianę losu, zawsze czas na ostatnie słowo. Już ja wiem że on będzie wiernie czekał.

W tym względzie Cecylia się nie myliła. Zaszle w ciągu ubiegłego tygodnia wypadki przekonały Wiesława, jak mało jeszcze miejsca zajmuje w sercu swego ideału. Widział z przestrachem że była zdolna poświęcić jego miłość, a nawet szacunek, gdyby chodziło o usunięcie jednego kamyczka z pod stóp macierzyńskich.

Zwyczajny młodzieniec uczułby się pewnie zraniony i urażony. Różyce przeciwnie. Jako człowiek stawiający rodzinę nad jednostką, obowiązki nad uczuciami, uznał postępowanie Cecylii za takie właśnie, jakiego chciał od przyszłej żony, i przedsięwziął cierpliwie czekać na miłość, która się nie dała zdobyć wstępnym bojem. Trzeba także dodać, że kilka słów rzuconych przez nią w rozmowie na ganku, o „poważnym stanowisku społecznym“, draśnęło jego miłość własną; to draśnięcie może być korzystnym dla jego przyszłości. Przyobiecał sobie nie prosić o rękę Cecylii, aż będzie mógł odpowiedzieć wszelkim jej życzeniom. W tym celu, na przekór zwykłej swo-

jój skromności, stara się o wyższe stanowisko, nie szczędzi pracy, ani nawet zabiegów.

U pani Ireny bywa często, ale z pewną miarą. Nie nie przypomina, nie namawia, tylko usiłuje gdzie można usłużyć, a nade wszystko dać się dobrze poznać. Zdaje się że bliższa znajomość będzie mu najlepszym adwokatem.

Bo też Cecylia, prawdę mówiąc, niedosyć dotąd ceniła jego wartość. Ję się wydaje że takich Wiesławów jest wielu po świecie. Lepsze poznanie ludzi bez wątpienia w ję oczach go podniesie.

Ale w czyich oczach, a nade wszystko sercu, podniósł się do nieznanych wysokości, to w sercu swojego wuja. Bo niech tam co chce mówi duma, jeśli się komu raz duszę otworzyło, będzie się ją otwierać i nadal. Kto zakosztował raz jeden nieopisanych słodyczy zaufania, ten już od nich nigdy nie odwyknie.

Po kilku tygodniach namysłu i walki, pan Tytus pewnego dnia przemówił do Wiesława tymże samym, wzruszonym i wzruszającym głosem, jakim po raz piérszy opowiadał mu swoją przeszłość.

Od téj chwili nie umie już mówić z nim inaczej.

Zawiązała się między niemi owa przyjaźń o której Wiesław marzył, potężna, głęboka, niepodobna do rozerwania.

I tak, matka z córką i przyjaciel z przyjacielem, przedstawiają dwa wzory zacnych uczuć, których urok jeszcze się podwaja przez wzajemne z sobą zbliżenie, bo kiedy ich widzimy, to najczęściej razem.

We czworo jeżdżą po Łazienkach, we czworo ukazują się włoży Wielkiego, albo Letniego teatru.

Warszawa, wśród codziennych swoich przepowiedni, wielokrotnie już ich żeniła. Gdy wróżby okazywały się mylnymi, nie brakło wydziwiań, a nawet złośliwych plotek. Obmowy i podejrzenia krążyły po zaułkach towarzyskich, rozsięwane wszystkie jedną ręką, którą każdy łatwo odgadnie.

Alfred, odrzucony niegdyś przez Cecylią, przypiął ję śmiertelną zemstę. I nietylko córce, ale i matce. Obie zniecierlił za odgadnięcie swojej niskiej duszy, za okazaną sobie pogardę, za kłatwy rzucone przez konającego ojca.

Byłby chciał widzieć Cecylią na ostatnim szczeblu nieszczęścia i poniżenia.

Kiedy zamiast klęsk i upadku, zobaczył ją oswobodzoną od przemocy ojczyzna, w nieznanym blasku i pogodzie, kiedy jeszcze dostrzegł na domiar że zwróciła oczy Wiesława, tego Wiesława którego uważał za cudowny wyjątek w ludzkim rodzie, ogarnęła go demoniczna zawziętość.

Postanowił zburzyć przyszłość dwóch istot, których szczęście zdawało mu się urągać, i już Różyca wciągnął w misternie ułożoną kabałę, już, już sądził się bliżki celu...

Co później się stało? Nigdy nie mógł zrozumieć.

Próżno badał Wiesława. Zgrabne odpowiedzi zamykały mu usta.

Widok powróconej zgody nie dał mu po nocach sypiać. Chciał przynajmniej ująć szczęśliwcom ludzkiego szacunku, roznosił zjadliwe wieści, ale i ta pociecha niedługo mu służyła. Potwarz się zawsze, jak to mówią, rozbija o Bożą mękę, a prawda, jak oliwa, prędzej czy później na wierzech wyjdzie.

Zupełnie innemi natchniony pobudkami, jest jednak w Warszawie i ktoś drugi, coby niechętnie patrzył na weselne gody w domu pani Ireny; to profesor Bońko.

Od czasu jak skończył swojego Aryona, stał się daleko więcej towarzyskim. Zmordowała go dzika cisza twórczości. Sam szuka serc przyjaznych i umysłów ciekawych, którymby mógł opowiadać trudy jakie przebył, tłumaczyć myśli jakie przeprowadził.

W kółku nam znajomym znajduje to wszystko; znajduje słuchaczy nietylko życzliwych, ale zapalonych do jego utworu.

Pan Tytus porusza niebo i ziemię, używa swojej znajomości zakulisowych wpływów, ażeby A-

ryona wprowadzić na scenę. Ale dyrekcyja teatru stawia się jakoś twardo. Znawcy, a zwłaszcza inni kompozytorowie, kręcą głową na dwie strony. Zwolennicy nowej szkoły mówią, że Aryon nie jest prawdziwie klasycznym, że wygląda na kopię bla- dą i zfałszowaną.

„Jeszcze się ten nie urodził, któryby wszystkim dogodził.“

Przyjaciele profesora gniewają się ognisćie na te sądy, według nich niesprawiedliwe i zazdrością technące. On sam je przyjmuje z niezrównaną pogodą. Czémże są takie chwilowe zawady, od losów albo ludzi pochodzące, w obec tytanicznych przeszkód, jakie zwalczył we własnej myśli? Największe zwycięstwo dokonane, opera już istnieje. A teraz, czy trochę prędzej czy później świata się ukaże, to już najmniejszy kłopot pana Benedykta. Wię on dobrze iż kiedyś będzie oceniony, a dzisiejszym brakiem uznania pocichu się nawet chlubi, pomnąc na podobne koleje prawie wszystkich mistrzów. O! już co ten, to naprawdę tworzy nie dla jednego pokolenia, ale dla wieków; nie dla poklasku ani zysku, ale aby z bogactw sztuki i dać ujście natchnieniu, co mu piersi rozpięra.

Szczerze nawet mówiąc, lęka się usłyszeć swoje dzieło na scenie. Tyle razy je słyszał i widział, wykonane przez chóry geniuszów nadpowietrznych, mieszkających w świecie jego marzeń, że ludzkie głosy, rzeczywiste narzędzia, nigdy nie dorosną na ziemi do téj próby, odegranej w niebie.

Czasem wprawdzie, kiedy mu zawisć zbyt cennie dokuczy, profesor grozi że pojedzie za granicę, tam przedstawi Aryona i raz jeszcze stwierdzi ewangeliczny przycinek: „Nikt nie jest prorokiem we własnym kraju!“

Między wtajemniczonymi często się toczą rozprawy nad tą sławną podróżą; Europa ma się zatrząść od nię. Dotąd jednak zostaje ona zawsze tylko groźbą. Samo przepisywanie partycyi zaniosło się na całe lata, bo profesor nie chciał go nikomu powierzyć i sam się nię pieści, a co popracuje, to przychodzi, w złotym humorze, pokazać nowy arkusz swoim kochanym paniom.

Ten humor jednak niezawsze był złoty.

Powtórne zjawienie się wuja, coraz częstsze bywanie siostrzeńca, przejęły go postrachem i wprowadziły prawie w czarną melancholię. Mało brakowało, żeby obu zniecierlił. Truchlał, czy ci natrętni goście nie staną się panami domu, który troszkę uważał za własny, i nie odsuną go od istot, stanowiących serdeczną stronę jego życia.

Wiesław, który coraz mocniej do niego się przywiązuje, zaniepokojony chmurnymi w nim zmianami, nie spuszcza go z oka, ale dotąd nie mógł odgadnąć, czy maestro jest zakochany w matce, czy też w córce. Może w obydwóch razem?

Wszak pan Benedykt czi Mozarta i czi Beethovena, a gdyby go się spytać, którego więcej, byłby także zakłopotany.

Platoniczne, eteryczne, święte jego uczucie dla dwóch pań najmiłszych, nie nosi żadnych cech ziemskości; jedną z nich jednak zachowało, i to gwałtowną, tém gwałtowniejszą, że odartą z wszelkiej nadziei: zazdrość. Sam żadnych praw nie rości, ale nie ustąpiłby ich drugiemu bez niepokieszonej, wewnętrznej rozpaczki.

To też długo chodził jak struty. Aż po kilku miesiącach, kiedy zobaczył że w domu pani Ireny nie się nie odmienia, że jest przyjmowany z większą niż kiedykolwiek przyjaźnią, kiedy zmiarkował po niektórych zwrotach rozmowy że jedna już zamąż iść nie chce, a druga jeszcze nie myśli, uspokoił się i ze wszystkimi pogodził, a nawet, w dobroduszości uczonym właściwój, uwierzył że taki stan rzeczy może trwać bez końca.

Niech jednak pan Benedykt bardzo się nie cieszy. Według przysłowia:—„Co nie jest, być może.“ Według poety:—„Serce i potok ostrzegają daremnie.“

Wiesław i Cecylia tyle śpiewają duetów, tyle rozmawiają przy gwiazdach na ganku, że już pani Irena, nic nie mówiąc, skupuje po troszku atłasy i koronki wyprawne.

A i z nią samą co się stanie? Czas, który wie-

le niszczy, wiele i naprawia. Pan Tytus, pod wpływem kojących wrażeń i serdecznego otoczenia, zmienia się powoli, ale codziennie. Zarzucił babilońskie uczyty, coraz mniej bywa w świecie, coraz więcej przesiaduje u pani Ireny. Już kilka razy, całując jej rękę, nie widział przed oczami krwawej plamy, a niekiedy, zwłaszcza gdy są sami, wpatruje się w nią z rozręskaniem, które jej wiele, zawiele przypomina.

Niepróżno lud, na rozstajnych drogach, stawia krzyże, jako znak obrony. Mniema on że w tych miejscach zły duch lubi przesiadywać, czekając na przechodniów, bo tam kusić łatwiej niż gdziekolwiek. Nieraz istotnie wędrowiec, przyszedłszy na skrzyżowanie kilku gościńców, zastanawia się i waha. Jeżeli zwłaszcza niema drogowskazów, lub jeśli czas je wyrzucił, widok dróg zupełnie sobie podobnych stawia go w ciężkiej niepewności. Każda zaprasza, każda kusi. A jednak one tylko z początku są podobne, tylko z początku idą blisko siebie—im dalej, tym się bardziej rozbiegają, aż promienie ich pójdą w odwrotne strony świata. Wracać się? to nadłożyć drugie tyle drogi. To też trzeba wybierać roztropnie, bez pośpiechu, wiedzieć dokładnie która droga idzie przez puszcze pełne zbójców, a która przez pola pełne wioski. Jaka doprowadza do podejrzanego gospody, a jaka do stolicy o złotych wieżach. — Jeśli podróżny nie jest pewnym, woli czekać na nowych przechodniów i spytać. Czasem zjeżdżają się ich kilku. Siadłszy pod krzyżem dla wypoczynku i wspólnej narady, opowiadają sobie drogi przeszłe, udzielają przestrogi co do przyszłych.

W królestwie ducha, takie rozstajne drogi jeszcze większym grożą niebezpieczeństwem.

Większym, bo tam nie można się wracać, i najczęściej kierunek, raz przez duszę obrany, stanowi o jej całej przyszłości. Tam jeszcze łatwiej się omylić, jeszcze mniej drogowskazów, a więcej pokus. Na dziesięciu ludzi, dziewięciu żałuje drogi jaką obrało.

W królestwie ducha przestrzenie większe, niżeli w drobnych państwach ziemi. Tam gościńce rzadko się krzyżują. Ledwie raz albo dwa przez ciąg życia przyszłość przedstawia nam kilka ścieżek, do wolnego, prawdziwie wolnego wyboru. To też kiedy taka godzina stanowcza wybije, dusza trwoży się, namyśla, szuka zewsząd rady i wyczekuje ile może.

Dusze, za którymi wędrowaliśmy dotąd, znalazły się w takiej godzinie swego przeznaczenia.

Każda idzie z innej przeszłości, przynosi inny zasób pamiątek, popędów i rojeń.

Siadłszy gromadką, opowiadają sobie trudy minionie. Nie śpieszą się do nowych. Niedziw, dobrze im razem.

Takie jednak wytechnienie długo trwać nie może. Tylko patrzeć jak wstaną i puszcza się w dalszą podróż. Czy dwiema parami? Czy każde z osobna? To przyszłość tylko pokaże.

Może kiedyś odnajdziemy ich w innej powieści? Może zbadamy nowe zwroty ich losu i serca?

Tymczasem, odpoczywających pod godłem wiary, uśmiechniętych miłością i nadzieją, zostawiamy ich na rozdrożu.

KONIEC.

Świętopełk książę Pomorza gdańskiego.

Opowiadanie historyczne.

Napisał

FELICYAN SURYN.

1.

Ile razy myślą przebiegam obszernie ementarzysko plemion słowiańskich nad Odrą, Łabą i Baltykiem, mimowoli smutek ogarnia serce i żal tych chrobrych pobratymców, ofiar podstępny, przemocy obcych, a niezgod własnych. Te same to, wciąż się powtarzające dzieje przedsiębiorczego Kaima i cichego Abła. Kaim tryumfuje, ziemia mu się

w udziale dostaje; lecz społeczeństwo wszystkich tych, których nie olśniła potęga drapieżna, była i będzie po stronie zwyciężonych i pomordowanych. Jak w owym malowidle Kaulbacha, choć bój na ziemi już przycichł, choć pobojowisko oschło z krwi, w przestrzeniach jednak powietrznych pomordowani jeszcze walczą ze sobą... i jęki tych ofiar przemocy dotąd nie przebrzmiały, dotąd wołają o pomstę i oddalają chwilę pobratania się sąsiadnich ludów.

A w dziejach walk tych ileż to postaci bohaterów, zapomnianych przez swoich, oczernionych przez obcych!

Taką właśnie postacią, takim walecznym obrońcą Słowianizmu w trzynastym wieku był Świętopełk książę Pomorza gdańskiego, którego obrałem za bohatera tego opowiadania.

W początku wieku trzynastego chciwość niemieckiej obszarne odkryło się pole do zaborów w ziemiach słowiańskich. Monarchia polska, ten szaniec Słowiańszczyzny dalszej, która zwyciężko dotąd walczyła z potęgą niemiecką, podzielona teraz na księstwa, wtrącona w odmet anarchii i wadni stronniczych, łatwą była zdobyczą dla wrogów. Tlum rozrodzonych i wyrodzonych Piastowiczów nie posiadał w swém gronie żadnego męża wyższych zdolności. Moznowładcy samowolnie kierowali Kaźmirzem Sprawiedliwym, za uległość nie szczedząc mu pochwał. Sympatya tę przenieśli i na starszego syna jego, Leszka Białego. Zasłynął więc on w kronikach jako areywzór cnót wszelakich; wynoszono pod niebiosa stałość jego w przyjaźni ku Goworkowi, chociaż nawet nasz Kadłubek wyraźnie poświadcza, że Leszek był tylko biernym narzędziem w ręku Goworka, „od którego (Goworka) zależało rozdawnictwo wszystkich urzędów.“ Tenże sam Kadłubek, w swym stylu przesadnym i napuszonym, twierdzi że już w młodocianym wieku Leszek jako słońce jaśniał między innymi książętami. Nie dając jednak łatwowiernego posłuchu stronnym kronikarzom, z oceny czynów Leszka możemy stanowczo twierdzić, że był to człowiek posiadający liczne cnoty domowe, lecz słaby jako monarcha. Rodzony brat jego Konrad, znany pod imieniem mazowieckiego, od księstw Mazowsza i Kujaw, które mu się dostały w udziale, jedna-to z najczarniejszych, najwstrętniejszych postaci w dziejach naszych, chciwiec nienasycony, mściwy, okrutny, umysłu płytkiego, intrygant, zdolny do wszelkiej zbrodni. Tacy to byli synowie Kaźmirza drugiego.

Stryjeczni bratankowie Leszka mniej nas obchodzą; ograniczymy się więc wzmianką, że byli to wszystko książęta bez talentów; wzrok ich nie sięgał po za drobne interesa chwili, a chciwość i duma były jedynymi pobudkami ich czynów.

Rzecz naturalna, że pod rządami takich książąt, Polska straciła znaczenie i szacunek u obcych, a narody hołdowne lekcewały ją i wylamywały się z pod jej zwierzchnictwa. Z tych krajów hołdownych najważniejsze były Pomorze i Prusy. Pomorze, nadmorska ta siedziba Polaków w dawnych wiekach, zasłynęła handlem i rozbojami morskimi, a ogniskami tego handlu i rozbojów były wielkie miasta pomorskie: Szczecin, Usedom, Wolin i Kamień. Z jednoplemienną piastowską Polską Pomorze w nieustannych było walkach. Jakie źródło tych waśni? odpowiedzi na to smutne pytanie szukać należy aż w mroku wieków bajecznych, więc oprócz jej nie zdołamy na pewnikach, ale tylko odpowiedzieć możemy hipotezą. Może brzegi nadmorskie ściągnęły do siebie awanturników skandynawskich, zkad władza ich rozszerzyła się po ziemi reszty Polan. Po objęciu tronu przez dynastya narodową Piasta, w Pomorzu mógł się utrzymać przy władzy ród Popiela. Ztąd gdy Piastowie sprzyjali chrześcijaństwu, władcy Pomorza, przez samą nienawiść ku potomkom wywłaszczycieli, obstawali może przy pogaństwie. Cobądź, w tych walkach bratobójczych wiele się krwi przelało. Potężniejsi monarchowie nasi podbijali i w posłuszeństwie utrzymywali Pomorzan; lecz ci ostatni korzystali z każdego

niewpowodzenia, z każdego osłabienia Polski, by wrócić do niepodległości i współbarbarzyńskiego życia swojego. Bolesław Krzywousty, po wielu wysiłkach i kilku wyprawach, podbił Pomorze całe, a apostołujący z woli i przy pomocy króla tego biskup Otton bamberski zdołał prowincya tę pozyskać dla kościoła. Od chwili też nawrócenia Pomorze szybko zaczęło się uspołeczniać i coraz bardziej uwydatniał się podział jego na dwie części. Część bliższa, aż do Leby, bezpośrednio należała do składu Polski; rządzą w niej wprawdzie potomkowie książątek miejscowych, lecz w imieniu książąt polskich, jako ich urzędnicy (starostowie). Takim starostą w kraju, rozciągającym się od granic Polski do Persanty, Kaźmirz drugi ustanowił Sambora. W dalszym Pomorzu, od Persanty do Leby, rządzi inny starosta, niejaki Janusz. Od Leby do Odry władza Warcisław, książę udzielny Pomorza od czasów Bolesława Krzywoustego. Osłabienie Polski pozwoliło Samborowi stawiać się jako księciu udzielnemu. Rządy jego w Pomorzu były gospodarne i zbawienne dla kraju; handel, rolnictwo, rozwijały się szybko. Mała osada Gdańsk rozrosła się teraz na miasto znakomite (*). O milę od Gdańska ten sam Sambor zbudował wspaniałą kościół i klasztor dla cystersów, nazwany Oliwą. Syn Sambora, Mestwin, czynnie się wtrąca w spory książąt polskich i wspiera Mieczysława Starego. Mestwin żył przestał w r. 1220 i w tym to roku Leszek Biały potwierdził jako rządcę Pomorza gdańskiego Świętopełka. Jednak bracia jego, Ratybor i Sambor, mieli wydzielone sobie części kraju przez ojca Mestwina. Potwarezo kompilator Kromera, Neugebauer, zwie tego księcia wrogiem pokoju (quietis impatiens). Owszem, Świętopełk był też dla Pomorza, czem później Kaźmirz Wielki dla reszty Polski, rządnym gospodarzem, budowniczym i fundatorem licznych miast, zamków i kościołów. Że później musiał staczać długie i zawzięte walki, wina za to ciąży nie na nim, nie przedsiębrał ich bowiem w celach zabobnych, lecz bronił siedziby własnej i dowiódł, że obok wielkich talentów administratora, nie mniejsze posiadał zdolności męża stanu i wielkiego wodza. Waśnie sąsiednich wielkopolskich Piastów, młodego Władysława Płwacza, czyli Odonicza, zmusiły Świętopełka do czynnej interwencji. Wsparł on swemi siłami Odonicza i dopomógł mu do odzyskania spuścizny ojcowskiej, zabraną przez stryja Laskonogiego. Młody Władysław pojął nawet w małżeństwo córkę Świętopełka Helenę, spodziewając się w bogatym i możnym księciu znaleźć silnego opiekuna.

Nim przystąpimy do opowiadania bojów Świętopełka z Krzyżakami, musimy wspomnieć o zjeździe gasawskim i śmierci Leszka Białego, winę której jednogłośnie prawie kronikarze nasi przypisują Świętopełkowi, mieniąc go zabójcą lennodawcy swojego. Nie pisząc panegiryku Świętopełka, nie myślimy weale zaprzeczać możliwości tej zbrodni. W wieku XIII, w którym tak silne i nieokiełznane były namiętności, zemsta i duma popychały do najokropniejszych zbrodni ludzi zkadnąd znakomitych; zabójstwo wroga chyba przez wyjątkowo chrześcijańskie dusze poczytywane było za występki, ogół zaś rycerstwa feudalnego pobłażliwie tolerował zbrodnie podobne, i były to niemal grzechy powszednie w wieku owym. A gdy się odzywało sumienie z wyrzutami, uspakajano je praktykami religijnymi, przyjęciem udziału w krucyatach, lub fundacyami klasztorów i kościołów. To też zapewne czuć musiał wyrzuty sumienia nasz Świętopełk, skoro zaraz po zjeździe gasawskim funduje i bogato uposaża dominikanów w Gdańsku, nowemi zaś nadaniami z bogactwa cystersów oliwskich. Nie przeczymy tedy faktowi zabicia Leszka przez Świętopełka, lecz godzi się nam przytoczyć niektóre okoliczności, o wiele zmniejszające winę i hańbę zabójstwa tego.

Książęta zebrani w Gasawie wezwali Świętopełka na obrady swoje, pragnąc podstępnie wy-

(* Schütz nazywa tego Sambora Sobiesławem. Nam nie chodzi o imię i woleliśmy pójść za zdaniem wydawcy Historii Wagi.

wrzęć na nim swą zemstę. Świętopełk wiedział o wrogiem usposobieniu książąt i zamiast wpaść w sieć chytrze zastawioną, z garstką walecznych wkrocza w granice Wielkopolski i schodzi w Gąsawie książąt, oddających się lubemu czasowi, wcale więc nie myślących o bezpieczeństwie własnem i obrad swoich. Leszek też zginął nie w nocy, bezbronny, lecz z orężem w rękę. Bużeński, autor Żywotów arcybiskupów gnieźnieńskich, wlicza znaczny zastęp biskupów obecnych na zjeździe gąsawskim, a przecie ani naczelnik kościoła polskiego Wincenty, ani żaden z obecnych biskupów nie rzucili klątwy na mordercę, nie mogąc snadź nazwać morderstwem czynu Świętopełka.

II.

We wszystkich walkach z królami polskimi wienymi sojusznikami Pomorzan widziemy równie jak oni pogańskich Prusów. To plemię litewskie, Wisłą przedzielone od Pomorza, Drwęcą od Mazowsza, równie jak Pomorzanie, w chwilach potęgi Polski korzyło się przed jej władzami, korzystało zaś z osłabienia jej i niemocy, by szerzyć wszędy zbójcekie swe zagony. Bursztynorodne pobrzeże Prus niezmiernie dawno znane było starożytnym, ale głąb kraju zalegały puszcze nieprzebyte. Jak z dziedzic Pomorzan najbliższa część, Pomorze gdańskie, uległo bezpośredniej władzy i wpływowi Polski, tak z jedenastu prowincyj pruskiej jedna ziemia chełmińska bez przerwy prawie ulegała jej władzy. Już za Bolesława Chrobrego nie Drwęca, lecz Ossa stanowiła granicę Polski, i odtąd do tej rzeki rozciągała się władza książąt i królów polskich. Ziemię chełmińską zewsząd otaczała ludność polska Pomorza, Mazowsza, Kujaw; od północy tylko graniczyła z dalszą Prusją, prowincją Pomeranią, a i od tej oddzielona była wielką puszcza; zwyciężony bowiem poganizm pruski stanowczo się cofnął za Ossę i od chrześcijańskiej Polski przedzielił się, zwyczajem litewskich ludów, ogromną pomeranińską puszcza. W ziemi chełmińskiej od czasów niepamiętnych, obok osad litewskich, istniały osady polskie; tu się chrześcijaństwo spotykał i graniczył z poganizmem. Lecz losy mieszkańców tamecznych nie były do pozazdrozzenia. Pole walk sąsiedzkich, wystawiona na pierwszy impet zagonów pruskiej i odwetu polskiego, ziemia chełmińska zmieniła się niemal w kraj pustynny i w takim stanie, wraz z Kujawami i Mazowszem, dostała się w działo Konradowi mazowieckiemu.

Naglącą była potrzeba nawrócenia Prusaków, napady ich bowiem coraz bardziej dokuczały Polsce, a zwłaszcza Mazowszu. Mnich cysters z Oliwy, rodem Pomorzycz, przedsięwzięte to tak trudne, z pozoru niepodobne apostolstwo. W wieku dzisiejszym nie napotykamy mężów tak niezłomnej woli, tak bezwarunkowo, tak bezinteresownie poświęcających się raz uznaną prawdzie, raz obraną ideą. Wiek zato XIII, czas ten wrzenia i młodości społeczeństwa chrześcijańskiego, znaczny liczy zastęp ludzi niepojętego dziś, zupełnego zaparcia się siebie, jak niemniej wielu, bardzo wielu zbrodniarzy, których złość i nienawiść ku bliźnim nie znały miary, ani granic. Więc w wieku trzynastym żyli i działali św. Franciszek z Asyżu, św. Dominik, nasz Chrystyan apostoł Prus, jak z drugiej strony w tymże wieku żyli: Konrad mazowiecki, Symon Monford, potworny Ezelino i Karol d'Anjou.

Niemniej jak dwaj powyżej wymienieni święci, Chrystyan zasłużył się kościołowi. Nim się udał na swą misję, długo rozważał dzieje poprzednich nawracaczy Prus i powziął przekonanie, że nie upór i fanatyzm Prusaków obróciły wniwecz ich prace, lecz tylko niestosowny sposób, w jaki opowiadał tym ludom dziecięcą prostotę naukę Chrystusa. Apostołowie poprzednicy jego wzywali lud pruski do ascetycznego wyrzeczenia się uciech, rozkoszy i radości ziemskich, do życia smutnego, kontemplacyjnego; poniewierali tém wszystkim, co ludowi temu było drogie, jako spuścizna przodków; za lada uchybienie grozili karami i piorunami tego nowego Perkuna. Nic też

dziwnego, że nie znajdowali prozelitów. Chrystyan opowiadał im naukę Chrystusa z całą jasnością i prostotą; nie nawoływał do zerwania ze światem, wzywał tylko do uznania i miłości Boga jedynego, nauczał kochać bliźnich i przebaczać krzywdy. Treściwie i wymownie wskazywał całą niedorzeczność ich wielobóstwa. I nauka jego, daleka od subtelnych, sofistycznych zaciekań, od egzaltacji, znalazła natychmiast posłuch u Prusaków. Imię jednak Chrystyana niepopularne było u duchowieństwa zakonnego. Przedewszystkiem mieli mu za złe poszanowanie narodowości i obyczajów pruskiej, pomimo że te nie sprzeciwiały się wcale wierze przezeń głoszonej. Zawzięci zwali go *Acefala*, t. j. nauczycielem bez mózgu. Ku zaszczytowi jednakże papieża Inocentego III należy powiedzieć, że w zupełności ocenili sposób nauczania Chrystyana i zalecił Henrykowi arcybiskupowi gnieźnieńskiemu wspierać prace jego.

Szczegółowy opis przebiegu misji Chrystyana przechodzi zakres tego artykułu; ograniczymy się więc krótką tylko wzmianką, że prace jego uwińczył skutek najpomysłniejszy. Inocenty III w 1215 roku bulą swą zatwierdził erekcją biskupstwa pruskiego, a najhojniej uposażyli je Konrad mazowiecki i Prandota biskup płocki. Spokojne jednak szerzenie się chrześcijaństwa trwało niedługo. Kapłani pogańscy, widząc byt swój zachwiany, podzegli tłumy i zaczęły się napady, ucisk nowonawróconych. Chrystyan, ratując owczarnię swoją, po kilkakroć wyjednywał bule papieżkie, z wezwaniem na krucyatę do Prus. Lecz wkrótce się przekonał, że dzielna ta ale dorywcza pomoc nie wystarcza i pomyślał wtedy o obronie stałej, o zakonie rycerskim, na wzór istniejącego już w Inflantach. Konrad, tak bardzo osobiście interesowany w poskromieniu Prusaków, poparł ten zamiar biskupa, i ustanowiono zakon rycerzy Dobrzyńskich, na wzór Inflanckich, tylko że złożony z samych Polaków. W liczbie nadawców zakonu tego spotykamy i Świętopełka. Narbutt przechował nam przywilój tego księcia, nadający różne swobody kawalerom Dobrzyńskim w ziemiach podległych Świętopełkowi. Niedługo jednak trwał ten zakon. W 1225 r., w czasie napadu Prusaków w bitwie pod Brodnicą (Strassburg) tchorzostwo Konrada wydało na rzeź wojsko chrześcijańskie, a rycerze Dobrzyńscy wyginęli wszyscy. Chrystyan więc, a raczej Henryk szlązki, podsunął projekt sprowadzenia zakonu niemieckiego Panny Maryi. Konrad skwapliwie chwycił się tej myśli i już w następnym roku wysłał poselstwo do mistrza Hermana Saltza, zapraszając krzyżaków do Prus. Dzieje malują nam tego mistrza jako arcywzór wszelkich cnót rycerskich i chrześcijańskich. Nie przeczymy przymiotom pojedynczego człowieka, lecz moralność zakonu, na czele którego stał Saltz, w chwili gdy Konrad wzywał go do Prus, na bardzo już niski spadła stopień. Powołanie zakonników nie było ani znojne, ani trudne, dawno już bowiem minęły czasy wojen z Saraceni. Obecnie więc zbrojna ta konfraternia, niby banda kondotyerów, sprzedawała swój oręż płacącym więcej, a że ich pomoc znaczyła niemało, w waśniach przeto ówczesnych papieżstwa z cesarstwem jedni i drudzy na wysiłki obsypywali zakonłaskami i przywilejami. Ztąd Herman Saltz już nosi tytuł księcia imperyum, a zakon możny był i bogaty. To też w szeregi krzyżackie cisnęli się masami najrozmaitsi, a często wysoko stojący awanturnicy narodu niemieckiego; niebrak zaś było takowych w przededniu *prawa pięści*. Jeżeli mamy szukać porównania, to znajdziemy wiele podobnych rysów zakonu tego z naszym późniejszym kozactwem. I tu i tam był stek szumowin społecznych; cała różnica w tém, że zakon krzyżacki rekrutował się z klasy uprzywilejowanej, więc górował oświatą i umiał lepiej maskować wewnętrzną strupieszalność; watażkowie zaś kozaccy, rekrutowani z gminu, gburowatością tylko, lecz nie moralnością, różnili się od krzyżaków.

Jednym z pierwszych ich czynów, po usadowieniu się w Prusach i objęciu w posiadanie ziem chełmińskiej i łobawskiej (michałowskiej),

była najczarniejsza niewdzięczność względem biskupa Chrystyana. Pierwszy pruski landmistrz Herman Balcke, człowiek waleczny, lecz charakteru surowego i despotycznego, codziennie tysiące przykrości domierzał biskupowi, wiał wpływ jego, paraliżował działania, a kiedy mąż ten świętobliwy szukał spokoju i wytchnienia w ulubionej Chełmży, i tam go ściagała zawziętość Balcke'go, gdy zaś wpadł w ręce pogan, krzyżacy wcale się nie śpieszyli z pomocą.

Szczęście też nadzwyczajne sprzyja krzyżakom od początku usadowienia się ich w Prusach: papież widzi w ich zwycięstwie tryumf chrześcijaństwa nad pogaństwem, cywilizacji nad barbarzyństwem, więc razporaz nakazuje krucyatę w pomoc krzyżakom, zagrzewa zakonne duchowieństwo do misji w Prusach i tłumnie śpieszą na te krucyaty Polacy, a przedewszystkiem Niemcy, chełwi odpustów i grabieży; z duchowieństwa zaś najdzielniej dopomagali im dominikanie z klasztoru gdańskiego.

Rok 1236 upamiętnił się w północnej Europie stanowczym zwycięstwem Litwinów pod Kamieniem. Potęga zakonu inflanckiego zupełnie została złamaną i zginął sam mistrz jego Volkwin. Zwalczeni w połączeniu z Krzyżakami widzieli jedyny ratunek i połączenie to nastąpiło niebawem. Teraz, nabywszy obszerne posiadłości, zakon uczuł się potężnym. Z dziwną też szybkością zrzucają ci wilcy owczą skórę, a następuje szereg szybkich podbojów w ziemiach pogańskich i niesłychanych okrucieństw. Zabójstwa nie były tu pojedyncze, lecz z zimną zawziętością krzyżacy wymordowywali wsie i osady całe pruskie, a na zgłiszczach tych osad wznosili zbrojne swe zameczki. Los pozostałych przy życiu Prusaków gorszy był od śmierci, nowi bowiem panowie wyzyskiwali ich pracę i okropny despotyzm rozciągał nawet do zacisz domowych. Semigalczycy przyjęli chrzest dobrowolnie, a Wilhelm biskup Modeny, człowiek łagodny i poświęcający się, urządził dyecezyą semigalską. Urządzenie to uniemożliwiało podbicie Semigalii, tej prowincji tak potrzebnej krzyżakom, posiadaczom ziemi Kurońców. To też zdobywają się na najokropniejszą zbrodnię: spraszają przedniejszych panów semigalskich na ucztę i wymordowują wszystkich.

Potężni krzyżacy, po połączeniu się z rycerstwem mieczowem, marzą o utworzeniu ogromnego państwa. Ma ono pochłonąć w sobie wszystkie ziemie Litwinów i wszystkie dzielnice Polski. Najpierw ściągnęło na siebie ich chciwość Wisłą tylko od ziemi chełmińskiej przedzielone Pomorze gdańskie. Prowincja ta zakwitła pod rządami gospodarne Świętopełka, który dokończył już budowy zamków obronnych w swém księstwie i zgromadził ogromne skarby. Biernie się dotąd zachowywał Świętopełk względem wrażliwej potęgi krzyżaków, oni zaś sami nie mieli odwagi zaczepić tego bogatego chrześcijańskiego księcia; tajemną więc intrygą nieśli waśń i niezgodę w dom jego własny. Wysłancy ich trafili do książąt Sambora i Racibora, niechętnie patrzących na potęgę brata, nie szczędząc im obietnic, wszelkich nagród w niebie i na ziemi, byle zachęcić ich do otwartego buntu. Poruszono wszystkie sprężyny, głaskano słabe strony charakteru tych dwóch książąt, i wynikiem tej długiej a wytrwałej intrygi było późniejsze przywdzianie przez nich habitu krzyżackiego i zapisanie ich posiadłości na rzecz zakonu.

Bacne oko Świętopełka niebawem odkryło te intrygi. W tym już czasie postanowił on walkę z zakonem, lecz jeszcze się wstrzymywał z jej rozpoczęciem, w ciszy gromadząc siły i szukając sprzymierzeńców. A łatwo było o tych ostatnich, ucisk bowiem krzyżacki doprowadził do rozpacz Prusaków. Sudawczycy chwycili za broń i wsparci przez 30,000 Litwinów pod wodzą Trojnata, wielkie korzyści odnieśli nad krzyżakami, poburzyli zameczki ich w Warmii, Pomeranii i ziemi chełmińskiej, wysłancy zaś ich wciąż przybywali na dwór gdański, błagając o pomoc Świętopełka.

(Dokończenie nastąpi).

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Milton i Cromwell,

przez Alfreda Sterna.

(Dokończenie).

W kilku alpejskich dolinach Piemontu mieszkała biedna ludność Waldensów, różniących się wiarą od swych katolickich sąsiadów i uważanych ztąd za kacerzy; zostawali oni pod władzą książąt sabaudzkich. Ci ostatni, przywilejami kilkakrotnie wydawanymi, poręczyli im swobodne wyznawanie ich zasad religijnych i pomimo częstych prześladowań, przywileje te utrzymywały się w swęj mocy. W 1655 r. rozpoczęto jednak przeciw tym biednym góralom walkę tak zaciętą, iż z wyjątkiem może irlandzkiej rewolucji z 1641 r., nowsze dzieje nic podobnego nie przedstawiały.

Dano do wyboru Waldenicykom: opuszczenie siedzib, lub przyjęcie katolicyzmu. Wskazano im tylko cztery gminy, w których mogli mieszkać i swe obrządki wykonywać, choć i tam msza miała być codziennie odprawiana, a ktoby usiłował powstrzymać innych od wyprzysiężenia się błędów kacerskich, miał być śmiercią karany. Śród zimy mnóstwo rodzin porzuciło domowe ogniska; ale podczas gdy wysłani przedstawiciele prowadzili układy z dworem turyńskim, wtargnęło piętnastotysięczne wojsko do dolin, spaliło 22 wsie i okrutnymi mordami rozniosło postrach dokoła. Wiadomość o tych barbarzyńskich scenach przekazało nam nie ustne podanie, lecz najwiarogodniejsze, cyframi poparte świadectwo. Setki kobiet i dzieci wrzucono w płomienie, setki innych strącono ze skał w głąb przepaści, większa część zdolnych do broni mężczyzn legła w rozpaczliwym boju. Pozostali zwrócili się z prośbą do Cromwella, którego imię dobiegło do ustronnych górskich dolin Sabaudyi. Cierpienia nieszczęśliwych znalazły echo w Anglii. Składka otworzona na te ofiary fanatyzmu przyniosła od razu do 40,000 funtów sterlingów. Jednocześnie ukazał się na morzu Śródziemnym admirał Blake z potężną flotą, i ponowiwszy dawne żądania ludności, wyjednał wykonanie takowych z pomocą postrachu, jaki rzucił na dwory włoskie. W Londynie tymczasem wzięto ponownie pod rozwagę plan rozwinięcia flagi angielskiej wszędzie, gdzie zajdzie potrzeba opiekowania się współwyznawcami, i dała się słyszeć pogroźka wysadzenia wojsk na wybrzeżach Nicei. Jednocześnie poseł angielski przy związku szwajcarskim, sławny matematyk John Pell, pracował z największą żarliwością nad skłonieniem kantonów reformowanych do czynnego wystąpienia. Samuel Morland, znakomity badacz natury, wysłany był z misją do Mazarina i ks. Sabaudyi. Miał on potężnego ministra podbudzić do użycia wpływu francuzkiego na księcia Sabaudyi, a temu ostatniemu przedstawić dobitnie szkodę i możliwe skutki jego postępowania. Zarówno mowa, którą inaugurował swój pobyt w Turynie, jak i przywieziony przezeń list protektora były utworami Milтона. Z pod jego pióra również wychodziły liczne noty, których redagowanie zlecał mu protektor śród gorączkowej niemal czynności dyplomatycznej w sprawie Waldensów. Prawie wszystkie protestanckie mocarstwa: Szwecya, Dania, reformowane kantony Szwajcaryi, stany niderlandzkie wezwane zostały do wspólnego działania. Wołanie o pomoc doszło nawet do Jerzego Rakoczego księcia Siedmiogrodu... aż staraniem rządu francuzkiego położono wreszcie koniec cierpieniom biednych górali.

Dla pióra Milтона nie można było lepszego wybrać tematu. Cały ból i całe oburzenie wobec spełnionych faktów wypiętnowało się ognistymi słowami depezy, będących niejako prozaičnym odtworzeniem więrsza, w którym maluje cier-

pienia tych męczenników, podnoszących ku niebu z głębi ojczystych dolin swe skargi i jęki. W podobny sposób oddawał on swe zdolności na usługi Cromwella, skoro ten przybrał stanowczo nieprzyjazną postawę względem Hiszpanii, rywalki Anglii w handlu i żegludze. Zarówno manifest wojenny przeciw Hiszpanii, jak odezwy w których protektor wzywa protestantów ładu stałego, aby zaprzestawszy wzajemnych nieporozumień, zjednoczyli się do boju przeciw jednemu wspólnemu wrogowi—ułożone były przez Milтона.

Żarliwość o interesa protestantyzmu stanowiła główny węzeł, jednoczący obu tych mężów. Dążąc jednak do tych samych celów, popadli oboj w niekonsekwencyą, niedającą się pogodzić z innemi ich zasadami. Zarówno Cromwell jak Milton byli zwolennikami independentyzmu, wyższymi nad ciasnotę idei presbiteryańskich. Pragnęli oni bezwarunkowej tolerancyi dla wszystkich wyznań; ale podniosłe ich umysły nie mogły się wzbudzić do takiej wysokości, któraby im pozwoliła tolerować katolicyzm. Wyznawcy tego kościoła wydawali się im przedstawicielami nietylę religijnego, co politycznego wrogiego obozu, który groził bytowi państwa. Ponieważ powstanie irlandzkie zostawało w ścisłych stosunkach z Rzymem, przeto każdy, uznający powagę rzymskiego kościoła, wydawał im się nieprzyjacielem. Co zarzucali przeciwnikom, w to popadli sami, tylko na innej drodze. Hiszpania nie tolerowała protestantów, ponieważ kto nie uznawał powagi głowy rzymskiego kościoła, był kacerzem; Anglia zaś nie mogła tolerować katolików, ponieważ kto uznawał powagę rzymskiego biskupa, ten stawał się niebezpiecznym dla państwa. Skutek w obu razach był jednaki. Jednakże konieczność związku z katolicką Francją zmusiła Cromwella do opuszczenia tej drogi, zboczonyj krwią tyłu walk religijnych.

Mimo zgodności pojęć, jaką spotykamy w poglądach na zewnętrzną politykę i katolicyzm u obu tych mężów, mamy podstawę do twierdzenia iż oni w innych punktach różnili się zdaniem. Byłoby niesłusznym wprawdzie mniemać, że między Miltonem a Cromwellem istniało formalne rozdwojenie, skutkiem którego poeta otrzymał uwolnienie ze służby. Istnieją dotąd łacińskie depeze pióra Milтона, pochodzące już z czasów po Cromwellowskich, z epoki rządów jego syna Ryszarda. W starym spisie osób, które odprowadzały na miejsce wiecznego spoczynku zwłoki Cromwella, spotykamy nazwisko Milтона, z tytułem sekretarza. Znadto wiele wagi przywiązują krytycy niektórzy do faktu, iż poeta, proszony przez jednego ze znajomych o protekcyą (w 1657 r.), odpowiedział: „Nie utrzymuję żadnych poufnych stosunków z tymi, którzy w łaskach pozostają; wolę spokojnie w domu siedzieć.“

W rzeczywistości jednak znalazły się interesa, w których między głębokim myślicielem, a praktycznym mocarzem niemożliwe było zjednoczenie pojęć. Independentyczny sposób myślenia jednego, był zasadniczo odmienny od zapatrywań, drugiego. Milton widział w independentyzmie ideał stosunku między państwem a kościołem na przyszłość, ideał stopniowo ale stanowczo urzeczywistniający się z drugiej strony oceanu; Cromwellowi zaś snuły się po głowie ideały odległej przeszłości, nieodpowiadające wcale duchowi epoki nowożytniej. Milton pragnął udzielić państwu większą część władzy, jaką sobie dotąd kościół przyswoił, kościelnym zaś gminom zostawić, jak każdemu stowarzyszeniu, wolność w granicach prawa. Cromwell zaś, jakkolwiek daleki od wszelkiego dogmatycznego przymusu, chciał państwu przydać cele kościelne i urządzić je tak, żeby miało za cel cześć Boga w życiu i nauczaniu.

Kiedy więc „mały parlament“ nadał gminom prawo wyboru swych pasterzy, czego już 1525 r. domagali się wieśniacy w swych 12-u artykułach, gdy odebrano kolatorom prawo prezenty i powoływania kandydatów, gdy zniesiono wszelkiego rodzaju obowiązkowe dziesięciny, gdy wreszcie jako jedyną prawną formę związku małżeńskiego uznano akt cywilny dopełniony przed sędzią pokoju — na wszystko to Milton najskwapliwiej mógł dać swe przyzwolenie, gdyż widział w tém urzeczywistnienie własnych swych myśli. Takie same niemal idee wypowiadał on w pismach, które tuż przed przywróceniem monarchii ogłosił drukiem: zniesienie majątków kościelnych, użycie zebranego ztąd funduszu na szkoły ludowe i publiczne biblioteki, zniesienie dziesięcin i opłat za akty religijne, sporządzanie aktów ślubnych i zejścia przez władze cywilne, wybór i opłacanie duchownych przez gminę — oto główne idee Milтона, którym do końca życia został wiernym.

Cromwell przeciwnie rozwiązał ów parlament „świętych“, nie wprowadził w wykonanie wielu jego postanowień, mianował z ramienia państwa komisją do egzaminowania pastorów, którym stawiano oznaczone zgóry pytania, śledzono ich moralne prowadzenie się, i od wyników tego poszukiwania, oraz od egzaminu zależało pozostawienie ich na stanowisku i otrzymywanie płacy. Rzecz naturalna iż Milton nie mógł tego pochwalać. Rządy zmieniają się, a wraz z niemi sposób wykonywania praw. Co dziś Cromwell z łagodnością przeprowadzał, to niedawno tyrania takiego Wiliama Lauda dała bolesnie poczuć, a jutro despotyzm Karola II lub Jakuba II wznowić nie o mieszk.

W ogólności cały charakter wewnętrznej polityki Cromwella musiał napełniać boleścią rozmiłowane w wolności serce poety. Walcząc z tyłoma stronictwami, szpiegowany przez nieprzyjaciół, co krok drażniony lub osobiście zagrożony, stawał się protektor coraz gwałtowniejszym i samowolniejszym. Rozpędza parlamenty jeden po drugim, kraj cały poddaje władzy swęj szabli, a prawo zastępuje doraźną egzekucyą. Jeden znakomity krytyk postawił domysł śmiały, iż sprawca tych wszystkich gwałtownych czynów służył poecie za pierwowzór szatana w „Raju utraconym.“ Myśl ta wistocie bardzo jest prawdopodobna. W tym tyranie piekiel, w tej kreacyi Miltonowskiej fantazyi, spotykamy tę samą własnie pełnię sił, pewność siebie, żądę władzy, tę tytaniczność, stanowiącą główne rysy charakteru Cromwella. Gdy szatan bezustannie usprawiedliwia swą dyktatorską władzę w mowach tchnących zapalem dla wolności, gdy jako despota pojawia się w imieniu wolności, gdy dla uniewinnienia swych czynów powołuje się na względy państwowe, na konieczność, „tę prawną zasadę tyranii“ jak powiada poeta—to doprawdy wygląda to jakby przez usta szatana przemawiał sam protektor własnymi słowami. Jednakże jeślibyśmy chcieli w ten sposób narzucić pewien pierwowzór swobodnie twórczej fantazyi poety, to znaleźlibyśmy jeszcze inne współczesne historyczne postacie, które mogły się nasunąć na myśl poecie. Któż mógł stanowić lepszy pierwowzór despoty podstępnego, w samym upadku jeszcze znakomitego i ujmującego, jak sam Karol I? Któż słuszniej mógł nosić miano zręcznego obłudnika i zdrajcy wolności „zmierzającego honorowo ku haniebnym celom“, jak Monk, przywróciiciel monarchii? Niektóre rysy charakteru Cromwella można dopatrzeć w postaci szatana, ale widzieć tu zupełną satyrę jego rządów, to całkiem niesłuszne i nieuzasadnione.

Nie wiemy co w czasach późniejszych Milton myślał o Cromwellu; niebezpieczną wtedy było rzeczą mówić o rzeczypospolitej; to też milczał

o t \acute{e} m poeta. Skoro jednak wrócili Stuartowie, którzy niczego si \acute{e} nie nauczyli i niczego nie zapomnieli, gdy na dworze kr \acute{o} lewskim w Whitehallu wstyd i przyzwoitość przestały obowiązywać, gdy Anglia spadła do stanowiska wasala obcych państw, „w tych ci \acute{e} kich dniach, s \acute{r} ód złych j \acute{e} zyków, ślepy, samotny, zewsz \acute{a} d zagrożony niebezpieczeństwami, — jakże nic miał poeta z tęsknotą zwrócić sw \acute{e} j myśli ku owym bohater \acute{s} kim postaciom, które Angli \acute{a} tak wielką uczyniły, w których wypiętnowała si \acute{e} cała moralna podniosłość purytanizmu? Jakkolwiek mogli si \acute{e} z sob \acute{a} w wielu różnic pojęciach, jakkolwiek idealistyczne pisarz nie mógł pochylać wielu s \acute{r} odków, które m \acute{e} żowi stanu zdawały si \acute{e} koniecznymi, to w najw \acute{a} żniejszych jednak celach, w najwewnętrzniejszej treści swych d \acute{a} żeń i myśli zostawali oni ściśle zjednoczeni. Przeciwno temuż samemu wrogowi walczyli, t \acute{e} ż sam \acute{e} j ojczyzny cześć i sławę chcieli przed światem całym podwyższyć, z tą samą nienawiścią ścigali gwałty duchowieństwa, słowem stali na jedn \acute{a} kim duchowym gruncie i na jedn \acute{e} j zasadzie. Cromwell nie był bynajmniej kr \acute{o} lem, posiadał on rzadką wielkość duszy, która mu pozwoliła ustrzedz si \acute{e} wpływu, jaki blask purpury i złot \acute{e} j korony mógł wywierać na człowieka, co był tak blizkim ponętnych tych oznak. Jeżeli jednak rz \acute{a} dzić po kr $\acute{o$ lewsku, znaczy rz \acute{a} dzić silnie i przezornie, to prosty ten angielski szlachcic posiadał wic \acute{e} c \acute{e} j kr $\acute{o$ lewskości, ni \acute{z} większa część współczesnych mu władc \acute{o} w, i słowa poety: „Śpiw \acute{a} k winien stawać tuż przy kr $\acute{o$ lu, gdyż obaj goszcz \acute{a} na szczytach ludzkości,“ można z wszelką słuszością zastosować do zwi \acute{a} zku tych dwóch m \acute{e} ż \acute{o} w, których imiona w dziejach świata jaśnieć b \acute{e} d \acute{a} zawsze blaskiem nieśmierteln \acute{e} j sławy.

Instykt i inteligencja zwierząt,

przez M. N. Joly.

(Dalszy ciąg).

Dlaczego \acute{z} wic \acute{e} , pytamy, jeden m \acute{o} zg tylko miałby od tego og $\acute{o$ lnego prawa analogii stanowić wyjątek? Dlaczego niektórzy filozofowie, pogardliwie patrząc na fizyolog \acute{o} w, nie chc \acute{a} uważać, że m \acute{o} zg słońca, małpy, psa i t. d., tak podobny (przynajmniej z pozoru i co do układu głównych cz \acute{e} ści) do naszego, jest, jak i u nas, narząd \acute{z} dem materialnym inteligencji, wprawdzie w ciasnych zamkniętej granicach, ale wypływającej z tegoż samego źródła co i nasza? Hasłem wiedzy jest przecie \acute{z} postępowanie; a jednakże niektórzy j \acute{e} y przedstawieli stoj \acute{a} uparczywie w miejscu, zamykając ucho na głos nauki, którą za przewodniczkę sobie obrali.

II.

Przystąpmy teraz do określenia wyraz \acute{o} w *instykt* i *inteligencja* i zobaczymy na cz \acute{e} m polega różnica między nimi.

Profesor Fée powiada: „Inteligencja jest to zdolność zdawania sobie sprawy z czyn \acute{o} w życiowych i nadawania im kierunku, oznaczonego wol \acute{a} istoty która ich dokonywa.“

U człowieka inteligencja rodzi si \acute{e} , rozwija, dosięga punktu kulminacyjnego i z wiekiem najcześnie \acute{s} iej słabnie, tak samo jak organa któremi si \acute{e} posługuje. Inteligencja ma wolę, czyni wyb \acute{o} r, okr \acute{e} śla i oznacza; waha si \acute{e} i b $\acute{ł}$ dzi; doskonal \acute{a} si \acute{e} i tworzy i bez przerwy d \acute{a} ży do postępu.

Zobaczmy poni $\acute{z$ ej, o ile te cechy d \acute{a} ją si \acute{e} zastosować do pojętności zwierzęcej.

Instykt, jest to popęd wrodzony, dziedziczny, ślepy, zapomoc \acute{a} którego zwierzęta, bez poprzedniego w jakimkolwiek kierunku doskonalenia si \acute{e} , spełniają czynności nieraz bardzo zawile, lecz wcale niezależne od ich woli, pomimo że dokonywanie tych czynności odbywa si \acute{e} zwykle za pośrednictwem mięśni, władzy woli podległych.

S \acute{a} dząc po gatunkach zwierząt żyjących w teraźniejszej epoce geologicznej, instykt jest prawie

bezwzględnie nieruchomy na raz zajęt \acute{e} m stanowisku i *nieomylny*. Instykt niczego nie tworzy, niczego nie doskonal \acute{a} , a wi \acute{e} wszystko, nie ucząc si \acute{e} niczego. Istota wyłącznie instykt \acute{e} m r \acute{a} dzona, nie zdaje sobie sprawy ze swoich czyn \acute{o} w: pełni je bez wiedzy i woli... idzie tam, gdzie ją skieruje popęd, dlatego tylko że jest kierowana.

Tak na przyk \acute{r} ad bobry buduj \acute{a} sobie mieszkania, wiewiórka zbiera zapasy na zimę, ptak lepi gniazdko, pszczoła kunsztowne komórki, paj \acute{a} k snuje przedz \acute{e} , a wszystkie te istoty czyni \acute{a} to zupełnie tak samo, jak przed niemi czynili od wiek \acute{o} w ich protoplaści, ale żadne z tych stworze \acute{n} *nie wi \acute{e}* przyczyny, dla której tych zadziwiających rob \acute{o} t dokonywa. Wszystkie istoty zwierzęce id \acute{a} za popędem wrodzonym i prawie zawsze bezświadomym, a jednakże ich dzieła s \acute{a} doskonałe, tak doskonałe, że cz \acute{e} sto człowiek niczego równego dokonać nie zdoła, lubo obdarzony jest organami dodatkowymi, które jego potęgę stokrotnie wic \acute{e} kszaj \acute{a} .

Pewien m \acute{o} ldy fizyolog, Jerzy Pouchet, id \acute{a} c za pogl \acute{a} dami Darwina, mówi że instykt jest to „summa przyzwyczaj \acute{e} n, nabytych z biegiem czasu i ustalonych przez dziedziczność;“ ale to określenie, ugruntowane tylko na hipotezie, powinno by być poparte faktami liczniejszemi i mniej zagadkowemi ni \acute{z} te, które Pouchet przytacza. Tak na przyk \acute{r} ad *melipony* (pszczoły meksykańskie) jak wiadomo, nie buduj \acute{a} plastr \acute{o} w, lecz naczynka oddzielne, w których mi \acute{o} d przechowuj \acute{a} . Pouchet, opierając si \acute{e} na niedowiedzionych jeszcze nape \acute{w} no zmianach w instykt \acute{e} melipon, twierdzi, iż z biegiem wiek \acute{o} w owady te b \acute{e} d \acute{a} budowały komórki o kształtach tak matematycznie regularnych, jak te, które podziwiamy w plastrach pszczoł; — a zat \acute{e} m pszczoły, s \acute{a} to melipony o instykt \acute{e} udoskonalonym. Podnosząc kwesty \acute{a} tego rodzaju, nale \acute{z} y nietylko dowodzić, iż przekształcenie takie jest możliwym, ale na faktach rzeczywistość jego wykazać.

Condillac także wywodził instykt od przyzwyczajenia. Tę przestarzałą teori \acute{a} usiłował wskrzesić Delboeuf, autor „teorii wrażliwości,“ lecz zwycięzko — mo \acute{e} m zdaniem — odparł ją Flourens, dowi \acute{o} dz \acute{y} nader logicznie, że instykt poprzedza wszelkie przyzwyczajenie. Tak na przyk \acute{r} ad kaczątko, ledwie wyszedłszy z jaja, biegnie do wody i z lubości \acute{a} w ni \acute{e} j si \acute{e} trzepocze; fakt ten dokonywa si \acute{e} nawet i wtedy, kiedy jaja kacze wysiaduje ptak niezdolny do pływania, jak na przyk \acute{r} ad kokosz. A zat \acute{e} m instykt pociągający kaczątko ku wodzie jest wrodzony, czyli poprzedzający chwilę wylęgnięcia, tak samo, jak poprzedza ją budowa łap opatrzonych błon \acute{a} , których kaczątko używa tak umiejętnie, nie potrzebując uczyć si \acute{e} pływania.

Delboeuf powiada, że „inteligencja d \acute{a} ży do instyktu i automatyzmu, który jest ostatnim stopniem udoskonalenia inteligencji.“ W sam \acute{e} j rzeczy nale \acute{z} y przyznać, że inteligencja bierze wielki udział w czynnościach, które przez ustawiczn \acute{a} wprawę, przez długoletnie przyzwyczajenie, staj \acute{a} si \acute{e} czysto automatycznymi. Do takich czynności automatycznych *nabytych* nale \acute{z} y na przyk \acute{r} ad gra na fortepianie, podczas której wprawny muzyk może śpiw \acute{a} ć lub rozmawiać. Drugi j \acute{e} y przyk \acute{r} ad mamy na żołnierzu który śpi, id \acute{a} c; lecz, jak Carpenter trafnie nazywa, jest to automatyzm *następczy*, nabyty, a nie \acute{o} w wrodzony, odznaczający si \acute{e} wnet po narodzeniu istoty brakiem zupełnym woli i namysłu.

Wbrew zat \acute{e} m teorii Delboeufa, instykt nie jest produktem inteligencji, nie jest ostatnim stopniem j \acute{e} y udoskonalenia, przeciwnie, instykt wrodzony, właściwy, nienabyty (bo o takim tylko mówimy) jest bezwarunkow \acute{a} negacy \acute{a} inteligencji.

Mówiąc zat \acute{e} m o instyktach zwierzęcych, nale \acute{z} y rozróżniać instykt \acute{a} wrodzone od nabytych, b \acute{e} d \acute{a} jących spraw \acute{a} rozwoju wychowawczego. Czynny, wynikające z instykt \acute{o} w nabytych, s \acute{a} pierwotkowo dokonywane świadomie, a nast \acute{e} pnie, w skutek wpraw \acute{y} , staj \acute{a} si \acute{e} automatycznymi. Ale odróżnienie obu tych gatunk \acute{o} w instyktu niezaw \acute{z} wsze jest łatwym: i tak na przyk \acute{r} ad trudno orzec,

do którego z nich nale \acute{z} y zaliczyć szczekanie psa, lub miauczenie kota.

Jakkolwiek instykt, w znaczeniu właściwym tego wyrazu, nie jest skutkiem przyzwyczajenia — ponieważ zawsze je poprzedza — jednak nie da si \acute{e} zaprzeczyć, że przyzwyczajenie, b \acute{e} d \acute{a} ce owocem kształcenia długoletniego, zaszczepia si \acute{e} niejako na instykt \acute{e} i wytwarza nowe cechy, nowe przy \acute{m} ioty, przenoszące si \acute{e} , tak jak sam instykt, prawie dziedzictwa.

Oto kilka przyk \acute{r} ad \acute{o} w w tym wzgl \acute{e} dzie, posiadających niezaprzeczon \acute{a} i tysiącami świadectw stwierdzon \acute{a} autentyczność.

Psy europejskie, sprowadzone do Santa-Fé de Bogota i użyte do polowania na jelenie, rzucaj \acute{a} si \acute{e} na zwierzę z przodu i przez to gin \acute{a} , gdyż jeleni, broniąc si \acute{e} , bierze je na rogi i rzucaj \acute{a} c uderza tak silnie, że im kr \acute{e} gi druzgocze. Natomiast psy amerykańskie, pochodzące z rodzic \acute{o} w ułożonych do tego rodzaju polowania, atakuj \acute{a} jelenia z boku i nigdy ran nie odnosz \acute{a} .

Przy badaniu jednego czynu, mniej lub wic \acute{e} c \acute{e} j zawilego, wielką trudność stanowi rozpoznanie, jaka cz \acute{e} ść czynu na instykt, jaka zaś na inteligencj \acute{a} przypada, połączenie bowiem obojga bywa niekiedy tak ściśle, iż daje pow \acute{o} d do wielu złudze \acute{n} , których i najsumienniejszy badacz niezaw \acute{z} wsze uniknąć potrafi.

Weźmy na przyk \acute{r} ad paj \acute{a} ka. Gdy do jego sieci wpadnie pospolita mucha (*musca domestica*), paj \acute{a} k przybiega, rzuca si \acute{e} na zdobycz, osnuwa ją niedbale, tylko tyle ile potrzeba, aby szamocząc si \acute{e} , nie przerwała paj \acute{e} czyny i nie uciekła, i wysysa ofiarę. Jeżeli zaś w sieci uwieźn \acute{e} b \acute{a} k lub osa, wtedy paj \acute{a} k przedsi \acute{e} berze s \acute{r} odki ostro \acute{z} ności: inteligencja zaczyna działać równocześnie z instykt \acute{e} m i śpieszy mu na pomoc, gdy schwytywany więzie \acute{n} jest silny i niebezpiecznym opatrzony jadem. Paj \acute{a} k zbli \acute{z} a si \acute{e} wic \acute{e} do ofiary ostro $\acute{z$ nie, wzmacnia najprz \acute{o} d zdaleka nitki główne, pot \acute{e} m wysnuwa kilka nitek poprzecznych, tamuj \acute{a} cych nieco ruchy owady, i stopniowo ścieśnia okowy coraz nowymi nitkami, dop $\acute{o$ ki ofiary sw \acute{e} j nie ubezwładni i nie odejmie j \acute{e} y wszelkich s \acute{r} odk \acute{o} w obrony. Widoczn \acute{e} m jest, że instykt i inteligencja pracuj \acute{a} tutaj wsp $\acute{o$ lnie; ale gdzie kończy si \acute{e} pi \acute{e} rwszy, gdzie si \acute{e} zaczyna druga? *Quien sabe?* jak mówią Hiszpanie.

Ta sama niepewność dręczy badacza wobec rob \acute{o} t, dokonywanych przez bobry.

Jasn \acute{a} jest rzeczą, że popęd wrodzony i nieprzeparty nakazuje im spełniać zadanie podw \acute{o} jne: budowniczych i cieśli. Dowodzi tego ta okoliczność, że nawet w niewoli buduj \acute{a} swoje siedzibę. Ale wiemy że bobry, żyjące w swobodzie, zgromadzaj \acute{a} si \acute{e} całymi stadami dla budowania swoich grobli obrz \acute{y} mich. Czy można przypuścić, aby praca tak wielka, wykonana tak ściśle i dokładnie, obyła si \acute{e} bez wszelkich trudności i nieprzewidzianych wypadk \acute{o} w, których usunięcie, zarówno jak wyb \acute{o} r miejsca i materiału, wymagało współdziałania inteligencji?

Ostatni przyk \acute{r} ad weźmiemy z pracy Poucheta, p. t. „Instykt owad \acute{o} w.“ Na tym jednym punkcie pogl \acute{a} dy nasze zgadzaj \acute{a} si \acute{e} z sob \acute{a} . Oto co Pouchet mówi o pracy mr \acute{o} wek:

„Budowa mrowiska jest spraw \acute{a} instyktu, ale wyborem i użyciem materiał \acute{o} w kieruje inteligencja. Tysiąc szczeg \acute{o} ł \acute{o} w wskazuje myśl, która pojmuje, rozważa, chce i działa. Nieraz przecie widziano mr \acute{o} wki, ci \acute{a} gnące do sw \acute{e} j siedziby skrzydło chrząszcza. Otw \acute{o} r ciasny: skrzydło nie może si \acute{e} w nim pomieścić: robotnice wic \acute{e} burz \acute{a} kawał ścian i zn \acute{o} w bior \acute{a} si \acute{e} do skrzydła. Jedne ci \acute{a} gn \acute{a} je do w \acute{e} trza, drugie z zew \acute{n} tr \acute{z} z popychaj \acute{a} ... Daremne trudy! materiał na jednolit \acute{e} powalę dla całej izby jeszcze nie daje si \acute{e} wci \acute{a} gnąć. Zn \acute{o} w wic \acute{e} mr \acute{o} wki powiększaj \acute{a} wyl \acute{o} m i nareszcie skrzydło wsuwa si \acute{e} do mrowiska. Zanim zostanie zaci \acute{a} gnięte na miejsce przeznaczenia, może dziesięć ścian zburzyć trzeba; nie to jednak nie znaczy: załatwiwszy si \acute{e} ze skrzydłem, pracownicy odbudowuj \acute{a} ścian \acute{y} i przywracaj \acute{a} bramie wchodowej pierwotne rozmiary. Podobnego przyk \acute{r} adu rozwa \acute{g} i i wsp $\acute{o$ lnej narady nie zdarzyło nam si \acute{e} zaobserwować nawet u małp w menażeryach.“

Mówiliśmy że jedną z głównych cech instynktu jest niezmiennosc dokonywanych czynów. Można w tém miejscu zrobić zarzut, że gniazdo wilgi, zawieszane jak kolóbka w widłowatém rozdwojeniu gałęzi, jest przyczepione do obu gałęzi zapomocą traw giętkich, do których wilga dodaje ustawicznie sznury, nitki, taśmy, słowem wyroby ręki ludzkiej.

„Jeżeli to jest przyzwyczajenie—powie ktoś—to podlega prawu dziedziczności; jeśli zaś tę czynność podciągniemy pod instynkt, to zgodzić się trzeba, iż nie sięga on początku świata.“

Naszem zdaniem zachodzi tu poprostu jeden z owych mnogich faktów, w których inteligencya łączy się z instynktem i w czynnościach odeń zawisłych małe, podrzędne zmiany przeprowadza. Popęd wrodzony jest ten sam co i wprzód: gniazdo zostało zbudowane, instynktowi stało się zadanie. Wszelako, idąc za popędem, którego cel jest mu nieznan, ptak może równocześnie przyzwyczajenia dziedzicznego, zaliczyć należy do czynów instynktowych *następczych*.

Przypuścimy teraz (co zresztą nie jest niepodobniestwem), że użycie sznurków i tasiemek do gniazda wilgi jest wynikiem przyzwyczajenia dziedzicznego, to i w tym nawet razie sama budowa gniazda pozostanie czynem instynktu wrodzonego, ale wybór materiału, jako następstwo przyzwyczajenia dziedzicznego, zaliczyć należy do czynów instynktowych *następczych*.

Toż samo dotyczy gniazda słowika. W lasach Lotaryngii słowik będuje gniazdo z liści dębowych; w okolicach zaś Tuluzy używa na ten cel liści róży.

Wszystko to dowodzi, jak mniemam, że dla zwierząt, tak samo jak dla nas, „potrzeba jest matką wynalazków“—czyli że w danym razie inteligencya śpieszy z pomocą instynktowi i z bogactwem swojemi zdobyczami.

Drugą, niemniej ważną cechą instynktu jest nieomylnosc.

Na stwierdzenie tego faktu moglibyśmy przytoczyć przykłady tysiące; podamy jeden tylko, ale popierający stanowczo nasze zdanie. Pewien gatunek osy (*cerceris bupresticida*), zniósłszy jajeczka do komórek, w których mają się wylęgnać, kładzie do nich owady, zwane *buprestes*, które żywią się wylęgłe larwy osy. Nigdy osa-matka nie złoży do komórki innego owadu, z gatunków pokrewnych *buprestesowi*, a przytém, schwytawszy owad, zapuszcza weń żądło i jadem swoim ubezładnia go zupełnie: owad żyje, więc nie psuje się, ale będąc sparalizowanym, nie może się bronić i idzie na pastwę larw żarłocznych, które innych owadów nie jedzą i giną niechybnie, jeśli zamiast *buprestów* dostaną chrząszcze i t. p. Nieomylnym więc jest instynkt osy co do wyboru zdobyczy i zadawania jej ciosu obezładniającego, nieomylnym jest także instynkt larw, odrzucających wszelką inną strawę.

Zdarzają się wszelako wyjątki we względnie nieomylności instynktu. Niektóre gatunki pajaków osnuwają swoje jajeczka przedzą, która tworzy jakby małe kokony; otóż Dugès oszukał takiego pajaka, umieściwszy, zamiast kokonu, kulkę z bawełny, którą pajak jaknajtroskliwiej pielęgnował. Ja sam, zajmując się, wraz z p. Filhol, badaniami nad mlékami i jego analogią do ziarn roślinnych, byłem świadkiem takiej omylności instynktu u muchy sérowej. Przyrzadziliśmy pewną ilość mączki grochowej, która, zwilżona wodą, zaczęła po kilku dniach wydawać woń séra, a mucha, zwabiona wonią, składała jajeczka w tę mączkę.

Powiedziano, nie bez słuszności, że instynkt zwierząt zależy w wielkiej części od układu organów, od przemian, jakie z wiekiem zwierzęcia w nich zachodzą, od obecności lub braku wreszcie tychże organów. Dość będzie przytoczyć znane powszechnie różnice w życiu i zwyczajach kijanki i zaby, albo gąsienicy żarłocznej i motyla, żywiącego się kropelką nektaru wyssaną z kielicha kwiatowego: niemniej uderzającym jest porównanie marsowego koguta z kapłonem, który wy-

siaduje jaja i z macierzyńską pieczołowitością wodzi swoje pisklęta. Wiadomo że na Wschodzie eunuchowie powszechnie używani są za piastunki i że troskliwie nad powierzonymi sobie dziećmi czuwają.

Nie wątpimy zatem, że wiele instynktów, które nazwałbym *organicznymi*, zależy w wielkiej części i prawie wyłącznie od ustroju organów, od ich wspólnego i wzajemnego na siebie działania, słowem od budowy, właściwej danemu gatunkowi zwierząt. Instynkt budowlany gromad pszczołich do tej kategorii się zalicza. Niemniej ścisły zachodzi związek między długimi łapami kangera i olbrzymiemi jego skokami; między silną budową przednich łap kreta i instynktem, który go skłania do grzebania jam podziemnych.

Strzeżmy się jednak przesady w tym względzie: ustrój i stosunek organów u królika i zająca nie wyjaśni nam przyczyn różnicy, jaka w instynktach obu tych gatunków zachodzi. Królik grzebie norę, a grzebie je nawet w starannie wybrukowanym miejscu, jeśli jest więziony; zając, tak podobny do królika z budowy zarówno zewnętrznej jak wewnętrznej, instynktu tego nie posiada.

Napotykać natomiast instynkt do grzebania u bobrów nadreńskich i naddunajskich. Bobry amerykańskie, bardzo do europejskich podobne, nie kopią jam, lecz budują groble i chaty.

U ptaków, przedstawiających wogóle budowę jednakową, znajdujemy tysiące różnic co do kształtu gniazda i materiałów użytych do budowy; ale każdy gatunek niezmiennie lepi gniazdo tak, jak jego przodkowie, a małe zmiany zbieżne od ustalonego kształtu lub materiału są skutkiem konieczności, lub szczególnych miejscowych warunków, w jakich budowa została dokonana. Powiedzieliśmy bowiem, że jedną z najważniejszych cech instynktu jest niezmiennosc, istniejąca conajmniej od tej epoki, w której ludzie zaczęli zwracać uwagę na obyczaje zwierząt.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Opozycya w Rzymie za cesarów.

(Opozycya możnych.)

Przez Gastona Boissier.

(Dalszy ciąg.)

III.

Opozycya ta, mimo całej swojej skrytości, nie zaginęła jednak bez śladu i pozostawiła po sobie tyle wspomnień, że ja we wszystkich jej stopniach i przemianach odtworzyć sobie jesteśmy w możności. Nie posiadamy wprawdzie owych pamfletów, które rozrzuciła śród mas w chwilach swojej śmiałości. Były to utwory okolicznościowe. Tacyt powiada, że czytano je chciwie dopóty, dopóki uzyskanie ich połączone było z niebezpieczeństwem; wpadały zaś w zapomnienie, gdy ich każdy mógł dostać. Ale historycy przechowali nam znaczną ilość epigramatów, ułożonych na cesarów; są między niemi i bardzo dowcipne, a wszystkie nadzwyczaj gwałtowne. Cesarze udawali zrazu że gardzą temi napaściami. August pisał do Tyberyusza, który się zanadto drażliwym na nie okazywał: „Strzeż się, kochany mój Tyberyuszu, zanadto ulegać zapalowi twojemu wiekowi właściwemu i gniewać się o to, co na mnie wygadują.“ Sam nawet Tyberyusz, gdy został cesarzem, odpowiedział tym, co nalegali na niego aby karał oszczerców, że „w państwie wolnym, wolno też być powinno każdemu myśleć i mówić, co mu się podoba.“ Ale umiarkowanie to skończyło się niebawem; pod tym samym Tyberyuszem karano bez litości autorów złośliwych wierszy, gdy ich tylko pochwycić zdołano: jednych strącano z Kapitolu, innych duszono w więzieniach.

Kiedy malkontenci nie śmieli się odważyć na atakowanie cesarza wprost; kiedy zbyt niebezpieczną stawało się rzeczą rozrzucić wiersze lub pamflety, widzieliśmy że uciekano się do rozma-

itych wybiegów. Szukano w dziełach starożytnych lub współczesnych miejsc mających analogią z chwilą obecną, zwracano na nie uwagę i kładziono nacisk, przyklaskując im. Ten sposób okazywania swego niezadowolenia z władzy był mniej niebezpieczny i dosyć dogodny, bo łatwo temu, co się czyta lub co się słyszy, nadać znaczenie jakie się komu podoba i odkryć w dziele złośliwe intencje, o których się autorowi ani śniło. Umysły palające nienawiścią, a powściągnięte strachem, miejsca takie upatrywały wszędzie. Dość tylko żeby aktor ukazał się na scenie, udając krok chwiejny, trzęsąc głową, podczas gdy chór śpiewał:

„Oto stary głupiec, który wraca z pola“...
żeby cały teatr wybuchnął śmiechem: poznawano zaraz cesarza Galbę.

Ale oprócz tych aluzji przypadkowych, było wiele i takich, które autorowie naprzód obmyślali, na nich budując sztuki swojej powodzenie. Za śmiałość tę drogo przypłacić było można; ale na cóż się pisarz dramatyczny dla oklasków nie odważy? To też musiała się wówczas pojawiać znaczna liczba sztuk pełnych zdradliwych przyrównań, wyrazów dwuznacznych, myśli ogólnych, dających się zastosować do pewnych wypadków szczególnych, sentencji i pewników, w których, pod pozorem dawania nauk rodzajowi ludzkiemu, wypowiadano prawdę monarsze. Literatura ta, na aluzjach oparta, zwracała się przeważnie do ludzi z wyższego świata, a główną jej sceną były sale odczytów.

Odczyty publiczne wprowadził w modę pierwszy Pollion, około środka panowania Augusta. Zyskały one niebawem nadzwyczajne powodzenie, które z łatwością można sobie wytłumaczyć, znając zajęcia i upodobania ludzi owej epoki. Lubiono wówczas literaturę, i jeżeli mamy wierzyć Horacemu, każdy prawie miał sobie za punkt honoru być pisarzem. Nie było wówczas w zwyczaju, żeby coś zapisanego zachowywać w ukryciu, żeby pisać dla siebie; miano zwykle tak dobre wyobrażenie o rzeczy napisanej przez siebie, że poczytywano sobie za grzech ukrywać to przed publicznością. Na nieszczęście rozpowszechnianie książek w starożytności nie było ani tak szybkim, ani tak łatwym, jak dzisiaj. Dzieła pisarzy sławnych rozchodziły się szybko i zachodziły daleko; ale utwory ludzi mniej znanych narażone były na niebezpieczeństwo pozostania w cieniu. Dlatego to pisarze, chcąc uniknąć tego smutnego losu i dać się poznać w jakibądź sposób, postanowili odczytywać publicznie swoje utwory: był-to jedyny środek ocalenia ich od zapomnienia, które im groziło. Jeżeli byli ubogimi, szli w miejsca gdzie się zgromadzał tłum: na forum, pod portyki, do łaźni publicznych; zatrzymywali przechodniów i deklamowali im wiersze, narażając się na wygwizdanie, a nawet na ukamienowanie, jeżeli tłum nie był w humorze słuchania. Bogatsi zapraszali na obiady swoich klientów i przyjaciół, podejmując ich jak mogli najhojniej, a wymagając zato jedynie cierpliwego słuchania i pochwał dla swoich utworów. Horacy opowiada nam zabawną historią o pewnym straszliwym wierzyteliu, który zwoływał swoich niewypłacalnych dłużników w dniu, w którym przypadał termin wypłaty, i czytał im nudne swoje utwory: trzeba było przyklaskiwać, albo płacić. Nieszczęśliwi „wyciągali szyję“ jako ofiary zrezygnowane i klaskali, żeby uzyskać przerwę. Pollion nie był ani tak biédnym, żeby potrzebował biegać po miejscach publicznych, ani tak głupim, żeby się zadowolić oklaskami przez grzeczność dawanymi. A jednak bardzo mu chodziło o to, żeby dać poznać swoje tragedye i opowieści. Człowiek ten próżny, który dopomógł Cesarzowi i Oktawiuszowi do zajęcia pierwszego miejsca, a który sam nie zadowalał się drugim, szukał w literaturze stanowiska i znaczenia, których mu odmówiła polityka. To naprowadziło go na myśl obrania jednej z sal swojego domu i urządzenia jej na teatr, z orkiestrą i galeryami, i zapraszania przez bilety osób które znał, lub od których chciał być poznany, aby słuchały, gdy będzie czytał swoje dzieła.

(Dokończenie nastąpi.)